Rok V. Nr. 7. Lipiec 1899.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny.

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

TREŚĆ:

WARUNKI PRENUMERATY:

	rocznie:	półrocznie:
W monarchii austr.-węgr.	8 koron,	4 korony.
„ ces. niemieckiem	8 marek,	4 marki.
„ Francyi, Szwajcaryi, Włoszech .	12 frank.,	6 frank.

	rocznie:	półrocznie:
W Anglii	10 szyling.,	5 szyling.
„ Stanach Zjednocz. Ameryki półn.	2 dol. 50 c.,	1 dol. 25 c
„ królest. polskiem i ces. rosyjsk.	8 rubli,	4 ruble.

(Nr. pojedynczy 80. gr. austr. 40 ct.)

REDAKCYA i ADMINISTRACYA

Lwów ul. Koralnicka 6 (Lemberg, Austria)

Rok V. Lipiec 1899 r. Nr. 7.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

SPRAWA POLSKA W POLITYCE EUROPEJSKIEJ.

Sprawa polska niewątpliwie w ciągu ostatnich trzydziestu lat straciła, jeżeli nie zupełnie to w znacznej mierze, charakter międzynarodowy, stała się niemal wyłącznie sprawą wewnętrzną państw zaborczych. Pod tym względem polityka mocarstw rozbiorowych cel swój osiągnęła, chociaż, jak niejednokrotnie wykazywaliśmy, sprawa polska w zmienionej postaci stała się dla tych państw zagadnieniem politycznem, trudniejszem dziś do rozwiązania, niż dawniej, niedomagamiem chronicznem, na które nie mają one lekarstwa, bo wszystkie środki, dotychczas stosowane, zawodzą.

Jeżeli powiedzieliśmy, że polityka mocarstw rozbiorowych poniekąd cel swój osięgnęła, nie znaczy to bynajmniej, że zmiana w charakterze sprawy polskiej jest bezpośrednim tej polityki rezultatem, jak sądzą zapewne wysokie sfery w Petersburgu i Berlinie. Ta zmiana wynika przedewszystkiem ze zmiany radykalnej w ustroju wewnętrznym społeczeństwa polskiego, wywołującej nowy układ stosunków i sił społecznych, nowe kombinacye dążeń i interesów narodowych.

Drugiem źródłem zmiany charakteru sprawy polskiej są przeobrażenia w ustroju prawno-państwowym mocarstw rozbiorowych, zwłaszcza w ustroju Prus i Austryi, przeobrażenia, które pośrednio oddziaływają i na ludność polską w zaborze rosyjskim.

O tem wszystkiem mówiliśmy już nieraz, obecnie zwrócić chcemy uwagę na inną jeszcze przyczynę obniżenia znaczenia międzynarodowego sprawy polskiej, mianowicie na układ obecny stosunków międzypaństwowych.

Kiedy te stosunki znajdują się w stanie równowagi chwiejnej, opartej na pokoju zbrojnym, kiedy możliwość wybuchu wojny wydaje się na czas dłuszy zażegnaną, sprawa polska znika zupełnie z porządku dziennego polityki międzynarodowej. Ilekroć jednak zaostrzają się stosunki między państwami, grającemi dziś główne role w polityce europejskiej, pogrzebana przez dyplomacyę sprawa polska odzyskuje cha-

rakter międzynarodowy, nabiera pewnego znaczenia przynajmniej w kombinacyach teoretycznych. Tak było np. dziesięć lat temu, gdy zaostrzyły się stosunki między Prusami i Austryą z jednej strony a Rosyą z drugiej.

Przyczynę tego wysuwania na szachownicę dyplomatyczną lub usuwania z niej sprawy polskiej łatwo zrozumieć. Osią polityki europejskiej jest dziś stosunek wzajemny do siebie Rosyi, Prus i Austryi. Francya jest w polityce europejskiej bierną. W sferze interesów polityki angielskiej sprawy europejskie mają coraz mniejsze, zazwyczaj pośrednie tylko znaczenie.

Mocarstwa, które dziś ton polityce europejskiej nadają, mianowicie Rosya i Niemcy, ze względu na interes własny starają się o odebranie sprawie polskiej charakteru międzynarodowego. Nawet zaostrzenie przeciwieństw między niemi stosunku ich do tej sprawy nie zmienia. I w Petersburgu i w Berlinie rozumieją doskonale, że poruszenie sprawy polskiej byłoby znakomitem zaszachowaniem przeciwnika, ale zarazem groziłoby poważnem niebezpieczeństwem interesom tego państwa, które by ją poruszyło. Taki ryzykowny środek, zarówno niebezpieczny dla tego, przeciw komu będzie użyty w walce politycznej, jak dla tego, który odważy się go użyć, tylko w ostateczności może być zastosowany. Bo dla Niemiec poruszenie sprawy w znacznie odbudowania państwa chociażby w polskiej postaci *Zwischenstaatu* — to nie tylko odebranie Rosyi ważnych dla niej politycznie i ekonomicznie kresów zachodnich i zabezpieczenie sobie granicy, ale i prawdopodobieństwo utraty w bliższej lub dalszej przyszłości prowincyj wschodnich państwa pruskiego, lub przynajmniej wzmocnienie w ludności polskiej tych prowincyi poczucia odrębności narodowej i dążeń odśrodkowych. Dla Rosyi zaś, gdyby nawet poruszyła sprawę polską w możliwie najkorzystniejszej dla siebie formie połączenia pod berłem cara wszystkich ziem polskich — takie rozstrzygnięcie tej sprawy wzmocniłoby wpływ polski w kraju zabranym, który nietylko rząd, ale i społeczeństwo rosyjskie uważa za swoje dziedzictwo odwieczne, niezaprzeczone, ale i nie dawałoby żadnej rękojmi, że Polska nie będzie dążyć do odzyskania zupełnej niezależności w swoich granicach historycznych.

Dodać trzeba, że poruszenie sprawy polskiej, jako sprawy międzynarodowej, wymagałoby zupełnej zmiany w polityce wewnętrznej tego państwa, któreby się dziś na użycie tak radykalnego środka odważyło. Przełamanie zaś rutyny państwowej, w dalszem następstwie nawet przekształcenie uświęconego tradycyą systematu politycznego, wymaga pobudek bardzo silnie działających, możliwem jest tylko w okolicznościach nadzwyczajnych.

Z państw rozbiorowych jedna Austrya mogłaby bez wahania posługiwać się w grze politycznej sprawą polską i w pewnej mierze to robiła, ale nieśmiało i nieszczerze, bo Austrya oddawna już nie prowadzi polityki samodzielnej i w blizkiej przyszłości zapewne prowadzić jej nie będzie, jeżeli nawet utrzyma się na stanowisku wielkiego mocarstwa.

Ale chociaż Rosya i Prusy mają uzasadnione powody nieporuszania sprawy polskiej, jako sprawy międzynarodowej, pozbawienia jej tego charakteru, nie można twierdzić, że nawet te mocarstwa nigdy jej nie poruszą. Przeciwnie, gdyby np. wojna między niemi stała się nieunikniona, zwłaszcza, gdyby prawdopodobne jej szanse groziły jednej stronie w warunkach zwykłych walki zbrojnej klęską, niewątpliwie państwo, w potędze swej a nawet bycie zagrożone, nie zawahałoby się wysunąć sprawy polskiej dla zaszachowania przeciwnika. W takich bowiem okolicznościach niebezpieczeństwo dalsze, chociażby nawet w możliwych skutkach straszniejsze od bezpośrednio zagrażającego, usuwa się z rachuby politycznej. Nie jest zasadniczo wykluczoną taka nawet kombinacya, że obie strony posługiwać się zaczną równocześnie sprawą polską. Poruszenie jednak sprawy polskiej przez Rosyę lub Niemcy jest wprawdzie możliwością, którą w kombinacyach politycznych należy uwzględniać, ale nie jest prawdopodobieństwem, które ma znaczenie realne dla praktycznej działalności politycznej.

Zaznaczyć jednak trzeba, że podczas gdy nasi rzekomi »mężowie stanu« myśl o odbudowaniu państwa polskiego uważają za mrzonkę, którą politykom poważnym zajmować się nie wypada, zarówno w niemieckich, jak nawet w rosyjskich sferach rządowych zjawiają się projekty, świadczące, że sprawa polska, jako sprawa międzynarodowa, nie jest bynajmniej pogrzebaną. Nie są zapewne tego rodzaju projekty zapowiedzią czynów realnych, ale są znamiennymi objawami starannie ukrywanego w działalności urzędowej państw zaborczych przeświadczenia, że sprawa polska w blizkiej przyszłości może i musi być w polityce europejskiej postawiona na porządek dzienny.

Mówiliśmy niedawno o broszurze v. Guhlena, dość wybitnego członka stronnictwa wojskowego pruskiego, broszurze, zasługującej na uwagę z tego zwłaszcza powodu, że bodaj po raz pierwszy zaznaczono w niej konieczność poważnych ustępstw terytoryalnych ze strony Prus na rzecz przyszłego państwa polskiego, dotychczas bowiem nawet przychylni Polakom politycy niemieccy, nie wyłączając socyalistów, pozwalali nam łaskawie rozszerzać się jak najdalej ku wschodowi, ale o żadnych ustępstwach na zachodzie słyszeć nie chcieli. Z tych samych kół wojskowo politycznych, do których v. Guhlen należy, od osoby, zajmu-

jącej wysokie stanowisko, wyszedł projekt, ujęty w formy realną zamiany górnego Ślązka i części Poznańskiego na Czechy.

Obecnie prasa zagraniczna pisze o projekcie znakomitego strategika rosyjskiego, generała Dragomirowa, generał-gubernatora kijowskiego wołyńskiego i podolskiego. Dragomirow przedstawił carowi memoryał, wykazujący, że Rosya powinna dążyć przedewszystkiem do opanowania Korei i Chin, że dla wykonania tego planu będzie musiała wytężyć wszystkie swoje siły duchowe i materyalne, rozwinąć całą swoją potęgę wojskową. Wobec tych wielkich zadań w Azyi dotychczasowe zabiegi polityki rosyjskiej w Europie nie mają żadnego znaczenia. Trzeba jednak zabezpieczyć się od napaści i zarazem pozbyć się kłopotu na kresach zachodnich. I jedno i drugie najlepiej można osiągnąć za pomocą utworzenia niezależnego państwa polskiego — z Królestwa i zaborów pruskiego i austryackiego. O ile sądzić można z niezbyt dokładnej relacyi dziennika angielskiego o projekcie Dragomirowa, generał rosyjski radzi nawet odstąpienie na rzecz przyszłej Polski części kraju zabranego (Litwy i Wołynia), mówi bowiem o granicy z r. 1794.

Powtarzamy raz jeszcze, że nie można opierać na tego rodzaju projektach jakichkolwiek kombinacyj politycznych. Takie pomysły teoretyczne, nawet w gabinetach monarszych wypracowane, bodaj nigdy nie przybierają zakreślonych kształtów. Ale nie przypisując im bezpośredniej działalności praktycznej, podkreślamy raz jeszcze ich znaczenie pośrednie, jako objawów znamiennych żywotności politycznej sprawy polskiej, żywotności, w którą, niestety, my sami najmniej wierzymy.

Jeżeli dziś publicystom europejskim, piszącym o sprawie polskiej, wydaje się ona »utopią«, »cieniem«, »widmem« zaświatowem – to my sami temu głównie jesteśmy winni.

Niewątpliwie trzeba było naszą działalność polityczną zastosować do zmienionego charateru sprawy polskiej i wogóle do zmienionych w ciągu ostatnich lat warunków prawno-państwowych naszego położenia w trzech zaborach. Ale w tem przystosowaniu poszliśmy dalej, dużo dalej, niż konieczność wymagała. Fakt, że sprawa polska przybierać zaczęła charakter sprawy wewnętrznej państw zaborczych, fakt zależny w znacznej mierze od okoliczności przemijających i nawet przypadkowych, podniesiono do godności zasady niewzruszonej, zrobiono dogmatem polityki narodowej.

Należało i dziś jeszcze należy liczyć się z tym faktem. Ale liczyć się, to znaczy także rozumieć właściwie jego względność, jego zależność bezpośrednią lub pośrednią ôd różnych warunków. Unanie zaś za dogmat polityki narodowej, po za którym nie ma zbawienia, tego faktu, że sprawa polska jest dziś sprawą wewnętrzną państw zaborczych, że

przestała być sprawą narodową, wytworzyło doktrynerstwo polityczne w różnych postaciach — trójlojalizmu. ugody i t. d. Realizm polityczny liczy się z faktami, ale nadawanie faktem znaczenia zasad, tymbardziej dogmatów jest właściwością doktrynerstwa specyficznego, niższego nawet od doktrynerstwa zwykłego, które w imię zasad lekceważy fakty.

Sprawa polska nie przestała być sprawą międzynarodową, tylko wskutek pewnego układu stosunków politycznych w Europie zeszła na plan drugi. Te stosunki jednak od lat kilku ulegają stopniowemu przeobrażeniu. Tworzą się lub zarysowują dopiero nowe kombinacye, nowe układy polityczne i jeżeli przedwczesnem byłoby dziś twierdzenie, że sprawa polska już w blizkiej przyszłości wejdzie na porządek dzienny jako sprawa międzynarodowa, to tymbardziej nieuzasadnionem byłoby zapewnianie, że sprawa nasza dawnego znaczenia w polityce europejskiej nie odzyska.

Wyjaśniliśmy już pobieżnie, jaki wpływ miał układ stosunków międzypaństwowych w polityce europejskiej za zmianę charakteru sprawy polskiej. Otóż ten układ dziś właściwie już nie istnieje. Rozpadło się faktycznie trójprzymierze, a bodaj czy nie jesteśmy obecnie widzami pękania nici sojuszu francusko-rosyjskiego. Polityka kolonialna mocarstw zachodnich, która ich uwagę od spraw europejskich odciągała, wytwarza obecnie coraz to nowe antagonizmy lub wspólności interesów, które gdy się zaostrzą i wyjaśnią, wywołają niezawodnie zmianę radykalną w układzie stosunków międzypaństwowych w Europie. Niedawno jeszcze zabawnem dziwactwem byłoby przypuszczenie, że przebieg spraw chińskich może w jakikolwiek sposób w najdrobniejszej mierze wpływać na sprawę naszą. Dziś stosunki międzynarodowe tak się przetworzyły, tak się rozrosły i poplątały, że bardzo łatwo przedstawić sobie niejedną nawet ale kilka kombinacyj możliwego wpływu wypadków w Chinach na sprawę polską. Wzięliśmy jeden tylko przykład, możnaby znaleźć ich więcej nietylko w Azyi, ale nawet w Afryce. Polityka miedzynarodowa staje się mechanizmem niesłychanie skomplikowanym, którego każda część za pomocą kombinacyi pośrednich łączy się z innemi.

Przeobrażenia w ustroju wewnętrznym wielu państw większych i mniejszych są również możliwe, nawet prawdopodobne i nie pozostałyby bez wpływu na politykę europejską. Dosyć tu zaznaczyć nawet bezpośrednio obchodzący nas przełom w stosunkach wewnętrznych Austryi, który zarysowuje się coraz wyraźniej.

Rzecz jasna, że z tych nieokreślonych dziś jeszcze przeobrażeń w stosunkach między państwami europejskiemi, z tych kombinacyj niewyjaśnionych niewolno wysnuwać realnych wskazań politycznych, ale wolno, a nawet trzeba przewidywać możliwość wystąpienia znowu

sprawy polskiej, jako pierwszorzędnego znaczenia sprawy międzynarodowej.

Ta możliwość zawsze zresztą istniała, a jeżeli nie objawiała się dosyć wyraźnie w odpowiednich chwilach, to my sami jesteśmy winni, bo nie robiliśmy nic dla zainteresowania opinii europejskiej naszą sprawą, przeciwnie, staraliśmy się podkreślać naszą bierność, świadomie nieraz dowodziliśmy, że jesteśmy w polityce europejskiej *une quantité negligeable.*

To poniżanie się dobrowolne, to wmawianie nietylko w siebie ale i w innych, że nic nie znaczymy, że jesteśmy słabi i niezdolni do czynnego wystąpienia, nawet gdyby losy nasze się rozstrzygały, jest nie tyle może rezultatem zmiany w charakterze naszej polityki narodowej, ile objawem upadku ducha, przygnębienia, z którego teraz dopiero powoli się otrząsamy.

Dziś jeszcze i to nietylko wśród przedstawicieli stronnictw, które ugodowemi nazwać można, ma bardzo wielu zwolenników dziwny pogląd, że punktem wyjścia polityki narodowej musi być uznanie naszej słabości, przyznawanie się do niej publiczne nawet wtedy, kiedy sami w tę słabość nie wierzymy. Mowy posłów posłów polskich w Berlinie przez długi czas, przy każdej sposobności ten motyw powtarzały. Dziś jeszcze w artykułach dziennikarskich brzmi często przykra, iście dziadowska skarga, że niesłusznie nas prześladują, gdy my jesteśmy słabi, coraz słabsi i do oporu niezdolni.

Przekonywaliśmy nietylko wrogów naszych, ale całą Europę tak dowodnie, czasem tak wymownie o naszej słabości i marności, że w końcu nam uwierzyli nie ci wprawdzie, o których przebłaganie nam chodziło, bo ci wiedzą, że jesteśmy silniejsi niż mówimy i myślimy sami, ale uwierzyli ci, którzy nas nie znają bezpośrednio. Nic dziwnego że w prasie europejskiej mówią o nas nieraz z pogardliwem politowaniem.

Liczono u nas niegdyś w polityce na sympatye ludów a nawet rządów europejskich. Ma się rozumieć, następstwem tej naiwności policznej musiało być rozczarowanie. Dodać jednak trzeba, że w tem rozczarowaniu obarczono dyplomacyę europejską ciężarem zarzutów nadmiernych, oskarżono ją o zbrodnie niepopełnione. Dotychczas n. p. w rozmowach i artykułach politycznych często usłyszeć można zdanie, że Anglia i Francya w r. 1863 haniebnie nas oszukały, tymczasem niema wątpliwości, że zarówno rząd angielski jak francuski nie dawały nam żadnych zobowiązań pozytywnych i wszystko to, co przyrzekły, zrobiły, oczekiwanie zaś czegoś więcej było już skutkiem naszej naiwności politycznej.

Z tej naiwności wyleczyliśmy się w znacznej mierze, nie spodziewamy się dziś, że ktokolwiek będzie za naszą sprawę narażał się i walczył nawet wbrew swemu interesowi. Ale uleczeni z tego rodzaju złudzeń, wpadliśmy w niebezpieczną reakcyę, a nawet w stan przygnębienia i poziomego sceptycyzmu. W tem przygnębieniu zapominamy, że mamy lub możemy mieć wspólne interesy z przeciwnikami państw zaborczych, a nawet z jednem z nich przeciw drugiemu. Gdybyśmy o tem pamiętali, nie obnażalibyśmy swojej słabości, nie przesadzali jej kłamliwie, ale raczej staralibyśmy się wykazać swoją siłę.

Na wspólności lub zbieżności przypadkowej interesów podobnie jak na sympatyach nie można polegać bezwzględnie. Tu trzeba wszystkie względy i szczegóły ściśle ważyć i dokładnie, podejrzliwie nawet rachować i oceniać *pro* i *contra*. Trzeba pilnować się i targować, myśleć przedewszystkiem o swojej korzyści i pamiętać, że działanie w imię wspólnego interesu nie jest bynajmniej ani spółką wieczystą, ani związkiem przyjaźni, ani sojuszem bohaterskim, ale jest po prostu spekulacyą polityczną, mającą cel określony i ograniczony zakres działania.

Naturalnie, do wspólnej akcyi politycznej nie może przystępować naród, którego przedstawiciele z góry zapowiadają, że żadnych zobowiązań przyjąć nie możemy, bo nie mamy siły do ich spełnienia, którzy usiłują nawet dowieść, że nikt nie ma interesu w łączeniu się z nami.

Ta abnegacya sromotna nie ma nic wspólnego z wypływającą z poczucia siły i żywotności narodowej zasadą, że, nie oglądając się na cudzą pomoc, sami sobie radę damy, że nie potrzebujemy ubliżającej nam litości, że nawet o sprawiedliwość względem nas nie prosimy.

Nasz program polityczny wychodzi tej właśnie zasady. Ale skoro w społeczeństwie rozszerza się coraz bardziej, przenika je coraz głębiej świadomość swej siły, poczucie swej odrębności, skoro coraz lepiej rozumieć zaczynamy, że jedynem kryteryum naszej polityki jest interes narodowy — nadchodzi wreszcie czas otrząśnięcia się z haniebnego przygnębienia. Nie wyciągamy do nikogo rąk z prośbą o pomoc, nie narzucamy się nikomu z propozycyą wspólnego działania przeciw naszym wrogom, ale chcemy wobec świata zaznaczyć, że nietylko żyjemy, ale i walczymy, że nas ucisk nie zgiął ani nie złamał, lecz, przeciwnie, jesteśmy dziś silniejsi niż dawniej, zahartowani doświadczeniem i z otuchą patrzący w przyszłość. A jużeśmy na tyle dojrzeli, że oceniamy jasno nasze położenie i nasze interesy narodowe, naszą siłę i znaczenie naszej sprawy dla polityki państw europejskich.

Te pobudki skłoniły stronnictwo demokratyczno-narodowe w zaborze rosyjskim do wydania *Memoryału* w sprawie polskiej z powodu kon-

ferencyi w Hadze. Zarówno ze względu na klarowanie się myśli politycznej w naszem społeczeństwie, jak ze względu na możliwe w blizkiej przyszłości przeobrażenia polityki europejskiej chwila dzisiejsza jest bardzo odpowiednią do poruszenia sprawy polskiej jako sprawy międzynarodowej. Z pobudek, o których wyżej była mowa, unikano przy redagowaniu memoryału wyrażeń, które miały by charakter protestu, utrzymano go w tonie suchym i dyplomatycznym, natomiast zaznaczono i uzasadniono, że sprawa polska jest i musi być groźbą dla pokoju Europy. Wnioski, które należało wyciągnąć z *Memoryału*, podkreślił w przemówieniu na zgromadzeniu publicznem w Hadze dr. Lewakowski, delegat Związku Wychodztwa z godnością i dumą zaznaczył etyczne i cywilizacyjne znaczenie sprawy polskiej.

Niewątpliwie, z naszego stanowiska politycznego można było powiedzieć w *Memoryale* więcej, zaznaczyć cele nasze i dążenia wyraźniej Ale taki dokument, jeśli ma odpowiedzieć swemu zadaniu, musi być wyrazem przekonań ogółu narodowego, a więc musi unikać wszystkiego, co jest mniej lub więcej spornem. Ogłoszenie *Memoryału* miało na celu zwrócenie uwagi na sprawę polską w związku z polityką europejską, i eel ten w pewnej mierze osiągnęło.

Znaczenia takich faktów dla sprawy naszej nie trzeba przeceniać, ale też nie trzeba lekceważyć. W epoce upadku państwa polskiego nie braliśmy prawie udziału w polityce europejskiej i to nam z pewnością nie mało zaszkodziło, bo jak słusznie wyraża się historyk francuski: »Polska stała się zbyteczną w Europie«. Powtórzenie tego błędu politycznego dziś byłoby karygodnem zaślepieniem. Finlandyą zajmują się teraz wszyscy, bo umiała sprawą swoją Europę zainteresować. A przecie, nie ubliżając Finlandczykom, w porównaniu ze sprawą polską ich sprawa ma w polityce eurpejskiej dużo mniejsze znaczenie, zwłaszcza dla przeciwników lub współzawodników politycznych Rosyi, chociażby dlatego, że jest nas przynajmniej pięć razy tyle, co Finlandczyków, nie licząc ludów, solidaryzujących się w stosunku do Rosyi z naszą sprawą.

SŁOWO PRAWDY.

»Umrzeć mogę, milczeć nie mogę« (Św. Hieronim).

W Maju r. b. z polecenia arcybiskupa Popiela ogłoszono w kościołach Królestwa Polskiego »list pasterski« zawołający do składania ofiar na rzecz głodnych w paru guberniach Rosyi, szczególniej w gub. samarskiej i orenburskiej. Ponieważ list ten, pierwszy od r. 1864, poruszoną sprawę w fałszywem świetle przedstawia i lekkomyślnie używa

słów świętych kościoła naszego, co nie jednego w błąd wprowadzić by mogło, przeto czujemy się w obowiązku dać na tem miejscu należyte wyjaśnienie.

Gubernia samarska do niedawna, była perłą wśród najurodzajniejszych gubernij Rosyi, o żyznej czarnoziemnej glebie i podatkach o 100% niższych niż u nas. Za Aleksandra I-go jako odwiecznych dziedziców tej ziemi widzimy: Kirgizów, Kałmyków i Baszkirów. Rząd wywłaszcza bez odszkodowania te ciche a pracowite plemiona pasterskie i ziemie ich oddaje kolonistom rosyjskim, którzy na tej prawie nowinnej, nadzwyczaj urodzajnej ziemi dochodzą do takiej zamożności, że w mieszkańcach innych również czarnoziemnych gubernij wzbudzają zazdrość. Chłop - milioner do rzadkości tam nie należał i pewnie dziś jeszcze nie należy, (a ogólnie biorąc, chłopów - milionerów było tam więcej niż w całem Królestwie Polskiem wśród najbogatszych warstw ludności).

Ziemie gubernii orenburskiej, mniej więcej do r. 1870-go stanowią prawie wyłączną własność Baszkirów, których ludność wynosi około 750.000 głów. Około tego czasu chciwi cudzej własności urzędnicy rosyjscy, widząc obok łagodności charakteru wielką zamożność*) pracowitych Baszkirów, zaczynają na własną rękę ich wydziedziczać bez żadnego zgoła powodu a ziemie, prawym właścicielom wydarte, sprzedają osadnikom z Rosyi za dobre pieniądze. Kradzież ta jednak była zbyt wielka aby ją ukryć było można, więc dla zabezpieczenia się wobec możliwych dochodzeń urzędnicy około 1880 r. wymuszają na Baszkirach wysokie datki w gotowiznie, za które budują wspaniały teatr rosyjski w Omsku, gdzie mieszkał generał-gubernator, a ministrowi spraw wewnętrznych p. Makowowi składają »w ofierze« z ziem zrabowanych parę set wiorst kwadratowych gruntu, co gdy uczciwe pisma rosyjskie ujawniły, minister Makow odebrał sobie życie.

W tych oto dwóch a pewnie i w innych guberniach wyszczerzył swe zęby straszny głód i tępi bezwiednych wprawdzie, ale mimo to nieprawych posiadaczy cudzej własności. I tak się dzieje wszędzie, gdzie stąpi zbrodnicza stopa moskiewskiego zaborcy. To liczne ogrody i bogate winnice Krymu na sto lat w pustynię zamienia, to niszczy wiekową kulturę na Litwie i w Polsce!

Że my Polacy w biednym widzimy tylko nieszczęśliwego, że pragnęlibyśmy cierpiącym dopomódz, że chcielibyśmy otrzeć każdą łzę, niewinnie wylaną, że »łaknącego nakarmić a pragnącego napoić« jest cząstką wierzeń, wrosłych w myśl i w duszę naszą, o tem mówić nie potrzebujemy, bo nikt nam z tego zarzutu nie zrobi, nawet wróg, nawet

*) Bogaty Baszkir miewał do 40.000 owiec w stadzie.

człowiek zły byle rozumny, bo taki będzie wiedział, że ofiarność nasza olbrzymie zatacza kręgi, że nie zna odległości i nie pyta o wyznanie, i czy to dla ofiar powodzi na Węgrzech, czy dla rannych w Grecyi, czy na dotkniętych nieszczęściem mieszkańców Ischii — grosz polski zawsze płynął obficie. Inaczej jest jednak z głodem w Rosyi, który na olbrzymich przestrzeniach tego rozległego państwa coraz bardziej grasować zaczyna nie od dziś, ale od lat wielu, i jeżeli dotąd ze strony rządu nie widzimy żadnej akcyi, to mimowoli i chęci musimy dojść do wniosku, że upadek ekonomiczny kraju, któremu nieodłącznie towarzyszy ciemnota ludu, jest jednym z punktów programu wewnętrznej gospodarki rządu.

My Polacy nie powinniśmy dać ani jednego grosza na rzecz ofiar w Rosyi, bo jeżeli głód tam panujący jest »dopuszczeniem Bożem«, jak mówi list pasterski, to nie nam maluczkim łagodzić wyroki Boże, a jeżeli jest rezultatem gospodarki rządowej, nie jesteśmy w stanie w najmniejszym nawet stopniu nieszczęśliwym dopomódz. Nadto, nie mamy możności dopilnować, aby ofiary nasze otrzymali głodni, z codziennej bowiem praktyki poznaliśmy dokładnie złodziejskie usposobienie urzędnika państwowego i możemy być pewni, że jeżeli nie wszystko to większa część pozostanie w lepkich pazurach czynownika. I inaczej być nie może, kształcą się przecież w rządowej służbie praktycznie; widzą, że gdy rząd, okolicznościami zmuszony, ogłosi jakąś ofiarę dla nieszczęśliwych, to jej w gotowiznie nie wydaje, lecz przeważnie obraca na pokrycie zaległych podatków, a ofiarom chwilowej radości doręcza kwity na wniesione *przez nich podatki.* Wspomnieć się tu godzi, że oprócz gub. samarskiej, we wszystkich innych głodem dotkniętych ludność nierosyjska stanowi większość a w nawoływaniach do ofiar nie ma o tem najmniejszej wzmianki.

Jeżeli oprócz wyżej powiedzianego przyjmiemy pod uwagę, że i u nas w kraju bywa głód częstym gościem, na przykład w r. 1891 w parafii serockiej ludzie z głodu marli a obecnie tyfus plamisty porywa ofiary w wielu punktach gub. płockiej, o czem ogół nie wie jedynie dlatego, że pisać o tem nie wolno. Jeżeli zważymy, że rząd ma wielką łatwość zaradzenia złemu, gdyby zbierane w gminach Królestwa Polskiego i Litwy pieniądze na pomniki dla Murawiewa, Puszkina, Suworowa i Katarzyny II — przeznaczył dla głodnych; gdyby pieniądze na budowane w Królestwie Polskiem cerkwie, stojące pustkami, obrócił dla nieszczęśliwych; gdyby 160.000 rb. przeznaczonych w roku bieżącym na zorganizowanie nowej zgrai szpiegów, pilnujących czy w polskich szkołach polskie dzieci nie uczą się czasem po polsku, lub czy inteligencya polska nie zechce się zająć oświatą ludu polskiego, który rząd

zniszczyć usiłuje, gdyby te pieniądze oddano nieszczęsnym ofiarom gospodarki rządowej, klęska przynajmniej na ten rok byłaby zażegnaną.

A jeżeli jeszcze dodamy, że ci nieszczęśliwi to nie są jacyś tam nieznani nam ludzie obcy i obojętni, lecz, przeciwnie, że to są dobrze nam znani oprawcy i ciemiężyciele nasi, że to są ci sami, którzy coraz bezkarniej rabują dobytek włościan naszych, że to są ci sami, którzy co rok gwałcą i zarażają dziewczęta nasze, że to są ci sami, którzy stale w szkołach demoralizują i ogłupiają dzieci nasze, słowem, że to są nasi rabusie, gnębiciele i mordercy, to serce nasze musi w głaz się zamienić i od nich, choć nieszczęśliwi, odwrócić.

Jakto! Mam hodować rękę, która za rok lub później utopi nóż w sercu mego brata lub ojca! Nie — nie, tego i Bóg sam od nas wymagać nie będzie!

Arcypasterzu! Kiedyś, gdy byłeś jeszcze jeszcze biskupem w Płocku i nauczałeś i czynem stwierdziłeś, że »kapłan, który trzyma Ewangelię Bożą i Chrystusa przykazania zachowuje, poledz może ale zwyciężonym być nie może« (Św. Cyprian) albowiem na to »otrzymałeś Ducha Ś-go abyś miał moc i nie był małodusznym« (*Memoriale vitae sacr*). Nam że to wypada przypominać Ci obowiązki katolickiego kapłana i obywatela ziemi polskiej!

Obywatelstwo świeckie nie szczędziło życia i lało krwi strugi w obronie wiary świętej, walcząc bohatersko przeciw mahometańskiej i schizmatyckiej dziczy, a kapłani katoliccy szli w puszcze, na bezdroża, na chłod i głód i śmierć męczeńską, byle spełnić to, co im obowiązek święty nakazywał. Czyś nam swym listem chciał powiedzieć »Wszakżem się zbogacił, znalazłem bałwan sobie« (Psalm XII, 8), że przy pierwszem wezwaniu wroga Kościoła katolickiego stajesz się sługą satrapy, poniżając ogół naszego duchowieństwa do poziomu najuboższego w świecie moralnie i umysłowo kleru prawosławnego.

Gdy tamten z ciemnoty chętnie pełnił funkcye pośledniejszych urzędników policyi, duchowieństwo nasze na ogół wszystko zawsze trzymało sztandar godności i wiary. Nie dziwi nas zgoła, że rząd starając się bezskutecznie rusyfikować przez urzędy, szkoły, wojsko, czytelnie, zabawy nawet, widząc chrześcijańską łagodność charakteru naszego chce rusyfikować przez »miłosierdzie nasze«, aby je wyzyskać i pozbawić nas tych groszy, których nie wystarcza na nasze potrzeby. Ale jaką Ty, Arcypasterzu, pełnisz w tem rolę? Czy »samego siebie w powadze, słowie dobrem, nienaganionem, podajesz przykładem« (św. Paweł do Tytusa II. 78). Zaiste nie, bo patrząc na Twoje słowo i na Twój przykład musielibyśmy z rozpaczą zawołać »trzodą straconą stał się lud mój, pasterze ich zwiedli go (Jeremiasz 50. 6).

Chwała jednak Bogu, lud nasz już dojrzał i złym pasterzom oddać się nie pozwoli na pastwę wilkom. Umie on już dzisiaj wyróżnić zdrowe ziarno w kopie pozłacanej plewy i błędne migotanie ułudnego światełka na manowce już go dziś nie wyprowadzi, ma bowiem na ojczystej niwie i drogi wyraźne i mocne drogowskazy, które mu zbłądzić nie pozwolą.

Ksiądz Polak.

DRANG NACH WESTEN.

Nazwą, w nagłówku umieszczoną, ochrzcili Niemcy zarobkowy ruch wychodźczy ludności polskiej do prowincyi niemieckich, Fakt niewątpliwie istnieje i Niemcy, którzy niedawno jeszcze butnie rozprawiali o swojem *Drang nach Osten*, poważnie liczyć się dziś muszą z żywiołowem posuwaniem się ludności polskiej ku zachodowi. Właściwie należałoby powiedzieć — z przenoszeniem się na zachód, bo ludność polska osiada raczej w dalszych niż w pogranicznych z siedzibami swemi prowincyach.

Publicyści niemieccy, którzy o tym ruchu piszą, zazwyczaj doniosłość jego i rozmiary przesadzają, w celu wykazania, że polski *Drang nach Westen* grozi niebezpieczeństwem niemczyźnie. Ale i w naszej prasie spotykaliśmy, chociaż rzadziej, fantastyczne przewidywania możliwych następstw tego ciekawego i ważnego objawu. Przygodny obserwator, który w miasteczku saskiem zobaczył w niedzielę przed kościołem kilkotysięczny tłum polski, zapatrzywszy się na barwne chustki dziewcząt naszych, jaskrawo uwydatniające się na szarem tle niemieckiem, puścił wodze fantazyi i roić zaczął o »zesłowiańszczeniu« od wieków zniemczonych obszarów. Tę fantazyę literacką przypominają sobie czasem dziennikarze, obdarzeni żywszą, niż w zawodzie naszym potrzeba, wyobraźnią, i wysnuwają z niej wnioski, mówiące o doniosłem znaczeniu ruchu ludności polskiej ku zachodowi, ale nie określające tego znaczenia dokładnie.

Obecnie, z powodu rozruchów robotniczych w Herne, w których Polacy wzięli czynny udział, gazety niemieckie, zwłaszcza organy hakatystów rozpisały się znowu o polskiem *Drang nach Westen.* Ani w naszem, ani w niemieckiem piśmiennictwie nie ma szczegółowych wiadomości o tym ruchu, nie ma materyałów statystycznych, któreby przynajmniej rozmiary jego pozwoliły ocenić. Jedyną bodaj próbą zebrania luźnych i rozproszonych danych w pewną całość i ujęcia ich w cyfry przybliżone jest dawniej już wydana broszura niejakiego p. Dixa, o której w swoim czasie pisaliśmy i której wywody dzienniki niemieckie teraz odgrzewają a nasze za nimi powtarzają.

Berlińska *Post* w artykule pod szumnym tytułem *Die Völkerwanderung von 1900* podaje i komentuje ku zastraszeniu patryotów niemieckich wywody Dixa, które tu w streszczeniu stałym czytelnikom pisma naszego przypominamy.

Dix oblicza, że według spisu ludności z dnia 3 grudnia 1861 mówiło w Prusach, które wtedy obejmowały 5104 mil kwadratowych i liczyły 18,491,220 mieszkańców, ogółem 2,214,888 osób po polsku, względnie po kaszubsku i mazursku. W Westfalii, Saksonii, Nadrenii i Brandenburgii Polaków wcale prawie nie było. Z wielkich miast liczył wtedy Gdańsk 24 (!), Wrocław 72 (!), Bydgoszcz 114 (?), Poznań 14,060 Polaków. W Berlinie wcale ich nie było (?).

A teraz?

W Berlinie naliczono ich w r. 1890 r. 12,800. Podług spisu ludności z 1 grudnia 1890 r. mówiło na 29,955,281 mieszkańców Prus 2,765,101 po polsku, nadto 54,443 po kaszubsku.

W tym samym czasie było w Saksonii około 75,000, w Westfalii 50,000, w Nadrenii 33,000 przybyszów z W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Ślązka.

Przedewszystkiem z zestawienia cyfr, bez wyjaśnień przez Dixa i *Post* podanych, wynika, że żywioł polski w Prusiech był stosunkowo słabszym w r. 1890 niż w 1861. W r. 1861 Polacy stanowili 12% ludności Prus, w r. 1890, już razem z Kaszubami niespełna 9½%, a nawet z liczonymi osobno wychodzcami na Zachód zaledwie około 10%.

Otóż pamiętać trzeba, że w okresie czasu między tymi dwoma spisami ludności Prusy powiększyły się znacznie wskutek przyłączenia do nich w r. 1864 i 1866 kilka prowincyi niemieckich: Szlezwiku, Hanoweru, Hessen-Kasselu, Nassau Nic dziwnego, że w r. 1890 było stosunkowo więcej Niemców niż w r. 1861. Na dawnym obszarze stosunek Niemców do Polaków wypadłby inaczej, ludność polska pomimo znacznej emigracyi po r. 1870 wzrosła w większej proporcyi, niż niemiecka.

Ale przypatrzmy się dalszym wywodom p. Dixa.

»Według nowszych obliczeń wynosiła w grudniu 1897 liczba Polaków w nadreńsko-westfalskim obwodzie przemysłowym, z wyjątkiem powiatu i miasta Essen, z których cyfry statystyczne nie nadeszły, 97000, a zatem 10 proc. całej ludności. Na powiat Gelsenkirchen przypada 30,000 = 20 proc. ludności, na powiat Recklinghausen 28,000 czyli 20 proc. ludności. Pomiędzy tymi Polakami w liczbie 97,000 jest co najmniej 40,000 dorosłych mężczyzn. Od grudnia 1897 liczba ta jeszcze bardziej się powiększyła, potworzyły się silne, zwarte w sobie kolonie polskie i doszło do tego, że Polacy tam myślą zupełnie poważnie

o postawieniu własnego kandydata przy wyborach do parlamentu. Potworzyli własne towarzystwa, stanowią zwartą falangę przeciwko Niemcom i żądają nie tylko polskich księży, ale nawet szkół z polskim wykładem.

»Statystyka szkół ludowych wykazuje także znaczny przyrost żywiołu polskiego w prowincyach niemieckich. I tak, stanowiły w szkołach prowincyi saskiej w r. 1886 dzieci polskie 0,04 proc., w 1891 r. już 0,13. Ten sam przyrost zauważono także w innych prowincyach. Izba rolnicza pomorska stwierdza napływ polskich kośników przy robotach letnich na Pomorzu, a brandeburska izba rolnicza zaznacza, że przez napływ robotników polskich stosunki tamtejsze znacznie się poprawiły. Donoszą z Kasselu, że tam wszędzie w Hesyi zatrudniają obecnie polskich robotników nietylko ze wschodnich prowincyi, ale także z Rosyi. Na Śląsku trzeba z konieczności zatrudniać rosyjsko-polskich i galicyjskich robotników, a wschodnie prowincye zniewolone są zastępować brak robotnika miejscowego robotnikiem polskim z poza granicy, przez co żywioł słowiański w Prusach stale i niebezpiecznie dla niemczyzny się powiększa. Lepszy zarobek kusi robotnika polskiego na zachód. Przybysze polscy czynią droższego robotnika niemieckiego zupełnie zbytecznym, obniżają zarobek i kulturę i zaszczepiają polskość w czysto niemieckich stronach, tak, że dziś można mówić na seryo o słowiańskim prądzie ku zachodowi. Doniosłości tego prądu nie należy wcale zapoznawać, rząd go też nie zapoznaje, gdyż stara się utrudnić napływ rosyjsko-polskiego robotnika. Punkt ciężkości leży w tem, jakby te wszystkie wędrówki polaków pruskich zatamować bez naruszenia prawa o wolnem przenoszeniu się z miejsca na miejsce«. Te argumenty p. Dixa możnaby jeszcze wzmocnić, cyfry, przezeń przytoczone powiększyć. Wychodztwo polskie do Niemiec z każdym rokiem wzrasta, kolonie polskie z każdym rokiem stają się ludniejszemi i liczniejszemi.

Nie podobna również zaprzeczyć, że ten polski *Drang nach Westen* jest dla Niemców niepożądanym, w pewnej mierze nawet niebezpiecznym. Ale pisarze niemieccy, zwłaszcza hakatyści przesadzają i przedstawiają w fałszywem świetle niebezpieczeństwo rzeczywiste lub wymyślają nieistniejące.

Chociażby w niektórych powiatach westfalskich ludność polska stanowiła nie 20, ale nawet 40% ogółu mieszkańców, chociażby kolonia polska w Berlinie liczyła nie 70.000 dusz, ale dwa razy tyle, o polonizacyi ziem niemieckich mowy być nie może. Nie może być również mowy o zachowaniu przez tych kolonistów w trzeciem lub czwartem pokoleniu narodowości polskiej. Kolonizacya polska byłaby dla Niemiec, poważnie niebezpieczną, gdyby żywioł polski ze swoich siedzib wy-

pierał napływowy żywioł niemiecki, a jednocześnie zalewał przyległe okolice Brandenburgii i Pomeranii, tj. rozszerzał się terytoryalnie. Ale wiadomo, że na własnym gruncie z wielkim wysiłkiem zaledwie utrzymujemy równowagę narodową. Prawda, że ludność polska szybko się mnoży, że rośnie w siły pod względem narodowym i ekonomicznym, ale i to prawda, że jest uboższą od niemieckiej i że tę drugą państwo wielkim nakładem środków duchowych i materyalnych popiera. To wychodztwo, które rzekomo zalewa Niemcy, osłabia żywioł polski w kraju, nie pozwala nam myśleć nietylko o polszczeniu ziem niemieckich, ale nawet o odniemczaniu ziem polskich. O ile wraca do kraju, a wraca zwykle z dorobkiem, pomnaża naszą siłę narodową, ale o ile na obczyznie zostaje, stanowi niewątpliwy i wcale pokaźny tej siły ubytek.

Te towarzystwa polskie, te obchody narodowe, cała ta organizacya wychodztwa, która tak Niemców straszy, w części tylko spełnia swe zadanie — zachowania narodowości wychodzców w otoczeniu obcem. Jest jednak dla tego nawet celu niewystarczającą. Znaczny procent wychodztwa przepada dla uarodowości polskiej. Dzieci wychodzców już się niemczą i inaczej być nie może. Jest mnóstwo rodzin, w których ojciec i matka mowią zawsze po polsku a dzieci już tylko po niemiecku. »Są tacy — pisze *Orędownik* — którzy w stowarzyszeniach rej wiodą, Polskę zawsze mają na ustach, przy lada sprawie narodowej ostentacyjnie wysuwają się naprzód, a ich dzieci tylko po niemiecku mówią«.

Redaktor *Gazety toruńskiej* p. Jan Brejski który kilka lat wśród wychodzców polskich w Niemczech pracował, (brat jego wydaje w Bochum *Wiarusa polskiego)* — tak o tej sprawie pisze:

»Kto zna stosunki w Saksonii, Westfalii i Nadrenii, ten wie, że tam Polaków wśród zbitej masy Niemców prawie nie znać, mianowicie po większych miastach. W takim np. Magdeburgu co najmniej 95 procent dzieci rodziców polskich nie umie słowa po polsku. Tak też jest w Halli, Lipsku, Dreźnie i w całej Saksonii, a w Hanowerze, Westfalii i Nadrenii nie wiele lepiej. Dzieci starszej generacyi wychodzców zniemczyły się prawie zupełnie a i młodsza generacya ciężką z niemieckiem otoczeniem a nieraz bezskuteczną wiedzie walkę o narodowość swego potomstwa, gdyż szkoła i kościół germanizują je na wyścigi. Wszystkie bez wyjątku dzieci rodziców polskich przygotowywane są do świętych Sakramentów po niemiecku i po niemiecku spowiadać się zniewolone. Zdarzyło się raz, że dziecko, które z powodu kalectwa nie wychodziło na ulicę między inne dzieci, ani nie uczestniczyło w nauce szkolnej, umiało tylko po polsku mówić. Rodzice prosili więc księdza, który mówi po polsku, aby je przygotował do Sakramentów świętych, ale otrzymali

odpowiedź: »Nauczcie dziecko po niemiecku, a następnie przyprowadźcie je na naukę«.

»Czy w takich warunkach może być mowa o polszczeniu prowincyj niemieckich? Są one raczej grobem, w którym ginie naród polski pod panowaniem pruskiem, ginie tem szybciej, im mniej zajęty czczemi paradami i tłumieniem ruchu ludowego wielki i nieomylny sztab polskich warstw kierowniczych troszczy się o nasze wychodztwo«.

Polski *Drang nach Westen* jest wyłącznie objawem ekonomicznym, bezpośredniego znaczenia politycznego nie ma wcale. Lud polski wychodzi na obczyznę za zarobkiem, łatwiejszym i lepiej płatnym, niż w kraju. Tam stwarza konkurencyę robotnikowi niemieckiemu, obniża skalę jego zarobku, w pewnej mierze pozbawia go zajęcia. Z tego względu dla Niemców ruch wychodźczy polski jest niepożądanym, a nawet poniekąd niebezpiecznym ze stanowiska ogólno-narodowego i klasowego warstwy robotniczej, ale przedsiębiorcy niemieccy są zapewne innego zdania.

Dla nas ze stanowiska narodowego to wychodztwo do Niemiec jest korzystniejszem, niż wychodztwo do Stanów Zjednoczonych, bo przynajmniej spora część wychodzców wraca do kraju, i, jak już mówiliśmy, wraca zwykle z dorobkiem. Ale to są bodaj jedyne dodatnie strony naszego *Drang nach Westen* pod względem politycznym i ekonomicznym. Przypisywanie mu innych zadań chociażby w dalekiej przyszłości jest mrzonką. Dla sprawy naszej byłoby nawet korzystnem gdyby Niemcom udało się ten ruch powstrzymać, ma się rozumieć pod warunkiem, że ludność pracująca znajdzie nowe źródła zarobkowania w kraju. Inaczej bowiem musiałaby szukać ich gdzieindziej, w gorszych niż w Niemczech warunkach i porzucać kraj na zawsze.

Poza współzawodnictwem ekonomicznem wychodztwo polskie jest dla Niemców z innych jeszcze względów niepożądanem. Władze miejscowe w prowincyach zachodnich muszą starać się o urzędników, znających chóć trochę język polski, chociażby dla kontrolowania zebrań towarzystw polskich. Niedawno dzienniki hakatystowskie oburzały się na burmistrza jednego z miast westfalskich, który od kandydatów na posadę komisarza wymagał znajomości języka polskiego. Księża skarżą się również, że każą im uczyć się po polsku, chociaż wychodzcy użalają się jednocześnie na brak obsługi religijnej w języku ojczystym.

Z temi niedogodnościami Niemcy muszą się pogodzić, nie mają bowiem środków i sposobów powstrzymania ruchu, który prawdopodobnie wzrastać będzie. W miarę zaś wzrostu wychodztwa polskiego niedogodności ekonomiczne i administracyjno-polityczne będą się zwiększały, kiedy bowiem z początku osiadali na obczyźnie ludzie, znający

język niemiecki, teraz idą już i tacy, którzy po niemiecku wcale nie umieją i dają sobie radę, bo znajdują na obczyznie otoczenie swojskie. Gdyby zaś udało im się w jakiś sposób ruch zatamować, przyczyniło by się to znakomicie, jak już zaznaczyliśmy, do wzmocnienia żywiołu polskiego na kresach wschodnich państwa.

I tak źle, i tak nie dobrze. Niemcy znosić muszą następstwo stosunków, które sami wytworzyli w celu zniszczenia narodowości polskiej.

Odrzucając fantastyczne plany słowiańszczenia chociażby w dalszej przyszłości ziem obecnie całkowicie niemieckich, powinniśmy jedzak zająć się poważnie wychodztwem, przedstawiającem dziś już znaczną siłę. To zajęcie się powinno mieć na celu ułatwianie wychodzcom łączności z krajem i pomoc w staraniach o zachowanie narodowości polskiej na obczyznie. Skoro ta siła, którą wychodztwo przedstawia, będzie jako tako zorganizowaną, uzyska ona pośrednio i znaczenie polityczne. Dziś już głosy polskie w niektórych okręgach zachodnio-niemieckich rozstrzygać mogą o rezultacie wyborów do parlamentu. Ale zużytkowanie należyte tej siły byłoby wtedy dopiero możliwem, gdybyśmy mieli w kraju odpowiednią organizacyę polityczną. To już do przedmiotu, o którym piszę, właściwie nie należy, więc kończę, zwracając raz jeszcze uwagę, na konieczność energicznego zajęcia się wychodztwem do Niemiec, które dziś w znacznej mierze dla narodowości naszej przepada, niemcząc się lub stanowiąc żywioł bierny.

Istnienie na wychodztwie pism i zwłaszcza dość licznych towarzystw polskich jest niewątpliwie objawem dodatnim, nie trzeba jednak znaczenia jego przesadzać. I pism i towarzystw powinno być znacznie więcej, a te ostatnie powinny dużo więcej i inaczej niż dziś pracować dla narodowości polskiej. Oto np. sprawa uczenia dzieci chociażby tylko czytania i pisania polskiego nie jest wcale zorganizowaną, kolonie polskie w Niemczech z wyjątkiem bodaj jednego Berlina nie mają swoich instytucyi ekonomiczno-społecznych i zawodowych.

Jesteśmy dziś w zaborze pruskim społeczeństwem przeważnie robotniczem, jak to sam fakt znacznego wychodztwa, złożonego z ludności pracującej, pośrednio stwierdza. Z tym charakterem społeczeństwa nie liczymy się dotychczas prawie wcale w naszej działalności polityczno-narodowej.

J. Raźmiak.

Z CAŁEJ POLSKI.

Wiec poznański. Uwagi o nim *Orędownika.* Lojalizm duchowny i wstrętne jego objawy w zaborze rosyjskim. Najgroźniejsza choroba Galicyi. Przykłady formalizmu biurokratycznego. Kilka słów o Kasie oszczędności.

Wiec walny, który ci, co go urządzali, z wytrwałością, godną lepszej sprawy, uparli się nazywać generalnym, odbył się w Poznaniu 29 czerwca, według zapowiedzianego programu, t. j. bez rozpraw. Nawet marszałka, wbrew zwyczajowi, nie wybrano na wiecu, ale zaprosił go komitet, który również wyznaczył mówców.

Na wiec zebrało się z górą 1500 ludzi z różnych okolic Księztwa. Szlachty i w ogóle inteligencyi świeckiej było niewiele, księży mniej jeszcze. Zdaje się, że z porady urządzających wiec inteligencya umyślnie się usunęła, żeby nadać zebraniu charakter ludowy. Istotnie przemawiali przeważnie włościanie, przemawiali dobrze, nawet ładnie, ale ogólnikowo, jak się przemawia na obchodach uroczystych, na manifestacyach.

Bo też wiec był manifestacyą i tylko manifestacyą, prawdę powiedziawszy, bezcelową, albo, wyrażając się dokładniej, bezużyteczną. Ci, co go urządzali, głównie zaś krzątał się redaktor *Dziennika poznańskiego* p. Łebiński — chcieli, jak sami ubocznie przyznają, pokazać rządowi pruskiemu, że nietylko szlachta i duchowieństwo, ale sam lud dziś upomina się o prawa narodowe i obywatelskie, zwłaszcza o język polski w szkole. Ale rząd pruski wie o tem doskonale i nie było wcale potrzeby przekonywać go wiecem. Taka manifestacya miałaby cel kilkanaście lat temu, gdy Bismark dowodził, że lud polski jest lojalny i zadowolony z rządów pruskich a tylko szlachta i księża wiodą go na pokuszenie. Teraz przecie nawet ministrowie w sejmie otwarcie wyznają, że ruch narodowy polski jest przedewszystkiem ruchem ludowym. Chyba więc chodziło by o dowiedzenie rządowi, że szlachta i duchowieństwo są lojalne, ale muszą protestować ze względu na lud, który nie chce się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy i z wymaganiami polityki rządu pruskiego

Dawni ugodowcy, którzy obecnie wiec walny urządzili, mieli zapewne zamiar przekonania społeczeństwa polskiego, a może i rządu pruskiego, że lud idzie jeszcze za nimi, że nie są pozbawieni podstawy, jak nawet prasa niemiecka twierdziła. Kto wie, czy tym politykom płytkim i naiwnym nie przyświecała przy urządzaniu wiecu myśl pokazania rządowi, że ponieważ lud słucha ich komendy, więc ich usługi, któreby chętnie na żądanie ofiarowali, mają jednak pewną wartość. To przypuszczenie jedynie może objaśnić rozmyślne przy urządzaniu wiecu pomijanie ludzi

z innych obozów. Gdyby chodziło o stwierdzenie, że społeczeństwo jest w obronie swych praw jednomyślnem, należałoby przedstawicieli różnych stronnictw za wszelką cenę dla manifestacyi zjednać. Tymczasem postąpiono wręcz przeciwnie, nie próbowano przekonać nietylko przedstawicieli ruchu ludowego, którzy byli wiecowi, urządzonemu przez ugodowców, przeciwni, ale nawet ludzi, grupujących się koło *Gońca wielkopolskiego*, który pomysł zwołania wiecu oceniał dosyć przychylnie.

Pisma ludowe, nietylko poznańskie ale i zachodnio-pruskie, zdając sprawę z przebiegu wiecu, zaznaczyły wyraźnie, że tego rodzaju manifestacye są zbyteczne, że trzeba wieców jak najwięcej, ale powiatowych, nawet parafialnych i, ma się rozumieć, takich, na których mogliby ludzie naradzać się i rozprawiać.

Wiec walny przyniósłby pożytek rzetelny, gdyby na nim, jak dawniej *Goniec i Orędownik* zgodnie radziły, poruszono sprawę samoobrony narodowej a specyalnie sprawę nauki domowej, czytania i pisania polskiego, dalej sprawę polskiej nauki religii w szkole. Tymczasem zamiast narad i rozpraw o tych sprawach pilnych i wymagających szczegółowego porozumienia się, mieliśmy na wiecu mowy patryotyczne, które w Poznańskim nie budzą już w sercach słuchaczy miłego rozrzewnienia, bo chłopi tamtejsi oddawna je wygłaszają.

Wiec powinien był wywołać przynajmniej, zdaniem *Orędownika*, »ruch myśli politycznej, rozważającej co robić wobec wzrastającego naporu germanizacyjnego«. Tymczasem nawet tego rezultatu nie wywołał.

»To nie jest — pisze dalej *Orędownik* — stan normalny. To dowodzi, że nasza myśl polityczna umie pracować tylko w stanie biernym, t. j. wtedy, kiedy jest zewnątrz podrażnioną, podżeganą; ale nie zdolna pracować czynnie, t. j. z własnej pobudki i przy własnem rozeznaniu potrzeb narodowych i praktycznych sposobów, które by choć częściowo, ale skutecznie potrzebom tym zadość czyniły.

»W naszej polityce narodowej kładziemy za wiele przycisku na rząd, na system pruski, zawiele zajmujemy się krytyką tego systemu, zawiele zaprzątamy sobie głowy i serca tem: jak byśmy to wspaniale wyglądali, gdyby nam rząd pruski przyznał to, co jest prawem naszem. Natomiast zamało zajmujemy się sobą samymi, zamało siebie badamy, zamało siebie sądzimy i krytykujemy. Skutkiem tego wobec rządu pruskiego odczuwamy coraz większą niemoc, która nas coraz bardziej niepokoi; siebie zaś samych skutkiem braku sądu i krytyki skazujemy zwolna na jałowiznę myśli politycznej. Ta niemoc z jednej i ta jałowizna własna z drugiej strony niszczy w nas zczasem energię życia, toczy, jak robak drzewo, zdrową i jędrną myśl, słowem — politycznie nas ubezwładnia«.

Nie jesteśmy bynajmniej społeczeństwem zwyrodniałem, przeciwnie, sporo mamy zalet i nawet cnót obywatelskich, które nas w walce o byt narodowy podtrzymują. Ale w dzisiejszych warunkach te nasze przymioty nie wystarczają, bo, brak nam »pracującej myśli politycznej«.

Orędownik stawia kwestyę jasno i śmiało:

»Z doświadczenia wiemy wszyscy, że rząd pruski nic nie zrobi na korzyść naszej narodowości, że kołataniem u rządu pruskiego nic nie wykołaczemy; że traktaty, obietnice monarchów pruskich, konstytucya pruska, że idea prawa i sprawiedliwości tyle nam pomoże, co umarłemu kadzidło. To wszystko wiemy z doświadczenia, a jednak nie umiemy sobie powiedzieć tego: że pozycya zwracania się do rządu pruskiego, czy z rekryminacyami czy z prośbami, — to pozycya stracona. Nie rozumiemy tego jasno: że co innego jest formalne korzystanie z prawnych środków, a co innego używanie tych samych prawnych środków — z wiarą w skuteczność.

»Gdyby nasza myśl polityczna umiała tak pracować, jak powinna, gdybyśmy umieli sobie to powiedzieć i wyciągnęli z tego odpowiednie konsekwencye, to pierwszy artykuł programu naszej polityki narodowej brzmiałby:

»Wiara w rząd pruski skreśla się — z punktu . . . . . .

»I w tej chwili gdybyśmy to sobie wszyscy otwarcie powiedzieli, stanęłaby przy nas naga prawda bytu naszego, twarda i zimna, a jednak nie ku naszemu pognębieniu, tylko ku wesprzeniu. Musielibyśmy liczyć tylko na siebie.

»I wtedy mniej zajmowalibyśmy się rządem pruskim, systemem pruskim, a więcej — sobą.

»Mniej byśmy bawili się w to, co jest obowiązkiem rządu względem nas, a więcej rozważalibyśmy to, jakie my mamy obowiązki względem siebie samych. Mniej kładlibyśmy przycisku na to, co rząd pruski nam winien, a więcej na to, co my sami jesteśmy sobie winni.

»Weszlibyśmy sami w siebie, nauczylibyśmy się sądzić samych siebie i wtedy dopiero wyzwolibyśmy się z własnej jałowizny.

»Wolni od uczucia niemocy wobec rządu pruskiego, przestawszy być niewolnikami własnej jałowizny, pogodzeni z myślą i przejęci ideą żywą, że czem będziemy, tem będziemy tylko przez siebie, stworzylibyśmy grunt na to, że nasza myśl polityczna pracowałaby prawidłowo, z skutkiem, choćby małym, ale zawsze jakimś. Postępowalibyśmy wolnym krokiem, ale zawsze krok za krokiem naprzód, w górę. Przybyłoby nam energii życia«.

Mówiliśmy już, że na wiecu poznańskim była zaledwie garstka księży. W pierwotnym programie wiecu zamieszczono petycyę do wła-

dzy duchownej, żeby wystąpiła w obronie nauki religii w języku polskim. Ten punkt programu zyskał uznanie powszechne, nawet przeciwne wiecowi organy ruchu ludowego oświadczyły się za nim. Ponieważ inicyatorami wiecu byli ludzie, mający blizkie stosunki z pałacem arcybiskupim, nie ulegało więc wątpliwości, że ks. Stablewski zgodził się na wezwanie duchowieństwa do obrony praw języka polskiego w zakresie nauki religii. Później jednak punkt ten najważniejszy pocichu usunięto z programu, a księża, którzy z początku gorliwie się krzątali koło urządzenia wiecu, na zebranie wcale nie przybyli.

Nic dziwnego, że zwrócono uwagę na równoległość tych faktów ze zjawieniem się pogłoski o zamierzonem i jakoby tylko na krótki czas odroczonem mianowaniem arcybiskupa Stablewskiego kardynałem. Ujawnienie w takiej chwili charakteru narodowego duchowieństwa i jego zwierzchnika uniemożliwiło by zgodę Berlina na upragnioną nominacyę. Ozdobienie purpurą kardynalską arcybiskupa - rodaka więcej przecie znaczy dla polityków poznańskich, niż jakieś tam prawa luda polskiego!

Dla purpury również, której zapewne nie otrzyma, dał się nakłonić arcybiskup Popiel do jawnego zaznaczenia swej lojalności za pomocą rozporządzenia, nakazującego duchowieństwu zbieranie w kościołach składek na głodnych w Rosyi. Odpowiednie wskazówki otrzymali może obaj arcybiskupi z Rzymu, wszakże tam poradzono ks. Stojałowskiemu, gdy zamierzał przenieść się do Królestwa, żeby dał rękojmię swej prawomyślności politycznej rządowi rosyjskiemu i wyłożył swoje poglądy na sprawę polską w dziennikach rosyjskich.

Za przykładem arcybiskupa Popiela pójść musieli inni biskupi, chociaż przynajmniej niektórzy z nich nie mieli ochoty do świadczenia miłosierdzia chrześcijańskiego braciom nadwołżańskim. Jak się zapatruje na rozporządzenie arcybiskupa uczciwa i patryotycznie usposobiona część, właściwie znaczna większość duchowieństwa, świadczy list, z tej sfery wychodzący, który w numerze bieżącym zamieszczamy.

Księża z rumieńcami wstydu na twarzy zbierali w kościołach składki, które ludzie z niechęcią dawali. W całem Królestwie zebrano śmiesznie drobną sumę — tysiąc kilkaset rs. a zdaje się, że nawet dla skompletowania tej sumy trochę dołożyli księża ze swej kieszeni. Mają już w tem praktykę, bo od paru lat z polecenia władzy duchownej zbierać muszą ofiary na prawosławną »kongregacyę propagandy«, zwaną Towarzystwem Czerwonego Krzyża. W pewnych odstępach czasu muszą księża odsyłać zawartość puszek naczelnikom powiatu, a ponieważ parafianie na Czerwony Krzyż nic prawie nie dają, więc każdy ksiądz z własnych funduszów dokłada: jeden rubla, drugi trzy i t. d.

Skonfundowani szczupłością ukwestowanej sumy nieprzejednani ugodowcy zgromadzili się na naradę i na wniosek p. p. Górskiego i Wielopolskiego postanowiono *per pas et nefas* ściągnąć od ludzi zamożnych przynajmniej tyle, żeby zebrało się 100.000 rs. Ale sami ci panowie nie są skorzy do wypróżniania swoich kieszeni, a inni dać nie chcieli, więc zniżono sumę do 60.000 rs. i postanowiono zwrócić się do bogatych Żydów warszawskich i Niemców łódzkich, których składki mają ratować skompromitowany skąpstwem magnackiem lojalizm społeczeństwa polskiego.

W zaborze rosyjskim, podobnie jak w zaborze pruskim, zbankrutowana polityka ugodowa zachowała najwierniejszych wyznawców w duchowieństwie i wśród niego najgorszą szerzy demoralizacyę. Dyplomacya dostojników kościelnych odbija się nieraz w zachowaniu się niższego kleru w formie wstrętnego służalstwa, czasem nawet zaprzaństwa.

Książe Imeretyński odbył tryumfalną podróż po gubernii piotrkowskiej. W Częstochowie, na Jasnej Górze odsłonięto przed nim cudowny obraz i odśpiewano, jak pisze *Warszawskij Dniewnik*, jakieś *Mnogolietje* Coby to być mogło? — pyta korespondent *Nowej Reformy* i odpowiada: chyba *Te Deum.* »W Będzinie — opowiada dalej tenże korespondent — przez imaginacyę pojechał na koronacyę: ksiądz miejscowy zestawił go z Sobieskim, który tędy ciągnął pod Wiedeń i tu modlił się w kościele. Książe Imeretyński dla księdza znaczy nawet więcej, niż Sobieski: tamten »wchodził do świątyni z bronią w ręku, ten wchodzi jako przedstawiciel najwyższej władzy w kraju« — przedstawiciel, »w którego osobie ludność widzi uosobienie prawości i sprawiedliwości«. Mało jeszcze tego było kapłanowi katolickiemu pod rządem rosyjskim. »Poprosił głównego naczelnika kraju, aby był wyrazicielem przed ubóstwianym przez wszystkich monarchą ich uczuć wiernopoddańczych, i polecił wszystkim obecnym modlić się za zdrowie i długie życie J. C. Mości N. Pana i całej rodziny cesarskiej«. W Zawierciu »jedna z lokatorek mieszkań robotniczych nie posiadała się z radości z powodu wizyty J. O. księcia, wzywając błogosławieństwa bożego dla dostojnego księcia«. Następnie w Piotrkowie p. Skarzewski, członek komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wypowiedział »gorące życzenie, aby kraj najdłużej pozostawał pod rządami księcia, opartymi na poczuciu legalności«. *Via triumphalis* co się zowie. Tylko ten ksiądz katolicki i ten obywatel polski — po co się oni na tej drodze znaleźli? Zwłaszcza ksiądz — wstyd«.

Ten marny księżyna nie rozumiał może nawet swej nikczemności i naśladując przykład z góry, myślał zapewne, że jest bardzo mądrym

dyplomatą, ba, nawet patryotą, bo wspomniał przecie o Sobieskim. Nie rozumiał, że tem zestawieniem Jana III z satrapą moskiewskim ubliża pamięci obrońcy Wiednia, jak Paulini częstochowscy, śpiewający temuż satrapie *Mnogolietje* czy *Te Deum*, nie rozumieli i nie czuli, że urągają pamięci Kordeckiego...

Nie wiem, czy może dla tego, że zachowałem »polską duszę zdrową«, nie nawidzącą instynktownie wszelkiej reglamentacyi, duszę której ani moskiewska, ani austryacka kultura przerobić nie potrafiła, czy może dla tego, że jestem »urodzonym« anarchistą — ilekroć rozmyślam o chorobach Galicyi, dochodzę zawsze do wniosku, że najgroźniejszą z nich i zarazem, niestety, najmniej zbadaną a nie leczoną wcale jest formalizm biurokratyczny. Ten biurokratyzm, rozpładzający się coraz bardziej, tamuje wszystkie objawy życia, zabija wszelką inicyatywę i, co najgorsza, znieprawia moralnie i umysłowo ludzi tak, że wcale szkodliwości jego nie czują i nie rozumieją. Nawet stronnictwa radykalne są, nie zdając sobie z tego sprawy, zarażone formalizmem biurokratycznym. Przejawia się to nawet w mowie potocznej, mówi się np. o dziennikarzu, że od 10 do 12-tej »urzęduje« w redakcyi, o farmaceucie, że »urzęduje« w aptece do 10 wieczorem, o lekarzu, że »urzęduje« w szpitalu lub u siebie w mieszkaniu.

Reformatorom galicyjskim każda sprawa społeczna przedstawia się w postaci instytucyi państwowej lub krajowej, w ostatecznym razie prywatnej, którą trzeba stworzyć, i w postaci skomplikowanej ustawy, składającej się z mniejszej lub większej ale zawsze sporej liczby paragrafów, kazuistycznie ułożonych.

Przyjrzawszy się bliżej tej chorobie Galicyi, zrozumiałem, dla czego tu właśnie powstała szkoła historyczna, która naszą przeszłość surowo oceniła i potępiła. Bo jakąż wartość mieć mogło państwo, w którem nie było prawie wcale urzędników we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Istnienie takiego państwa było niedorzecznością, urągającą wszelkim prawom austryacko - galicyjskiej mądrości politycznej.

Biurokratyzm pochłania wszystkie siły umysłowe kraju, ażeby je wyssać i zmarnować. Nie zostaje urzędnikiem tylko człowiek za głupi, lub — co się częściej zdarza — za mądry, żeby nim być. Zgubniejszem jednak niż bezpośrednie obezwładnianie inteligencyi jest pośrednie oddziaływanie biurokratyzmu, bo obejmuje wszystkie dziedziny życia i myśli ludzkiej.

Ale zapędziłem się za daleko w uwagach ogólnych, kiedy właściwie chciałem mówić o szkodliwości formalizmu biurokratycznego w zakresie spraw realnych.

Pisząc, kilka miesięcy temu o stosunkach finansowych Galicyi, wypowiedziałem ubocznie zdanie, że dla tych stosunków może się okazać szkodliwszym chociażby wywołany najlepszymi zamiarami formalizm biurokratyczny niż lekkomyślność lub nawet nieuczciwość spekulacyjna. W tej dziedzinie stosunków formalizm staje się zazwyczaj zabójczym, bo wprawdzie utrudnia — chociaż nie zawsze — nadużycia, ale tamuje szybkość i sprawność załatwiania interesów. Wszelkie sprawy finansowe powinny być załatwiane możliwie prędko i bez formalności niepotrzebnych, a na to biurokratyzm nie pozwala.

W Austryi, zwłaszcza w Galicyi panują pod tym względem stosunki barbarzyńskie. Pozwolę tu sobie przytoczyć dla przykładu fakt drobny ale znamienny z własnego doświadczenia.

Z Warszawy przysłano nam prenumeratę na pismo w postaci przekazu czekowego Banku państwa na jedną z instytucyi lwowskich. List z przekazem przyszedł pod adresem redaktora odpowiedzialnego. Ponieważ suma była drobna, a ja nie miałem czasu wolnego, nie spieszyłem się ze zrealizowaniem przekazu. Wreszcie po kilku tygodniach idę do owej instytucyi, na którą przekaz był wydany. Tam mi mówią, że przekaz trzeba wprzód ostemplować w odpowiedniem biurze w dyrekcyi skarbu. Idę tam i w końcu niezwykle długiego korytarza znajduję wreszcie potrzebne mi biuro a w niem urzędnika, wyznaczonego do przyklejania 5 centowego stempla na przekazie. — Czy dawno pan ten przekaz otrzymał? — pyta mię ów urzędnik. — O, już z miesiąc temu odpowiadam naiwnie. — A to ja nie mogę ostemplować, musi pan iść do »biura wymiaru należytości«, gdzie wprzód trzeba zapłacić karę za przetrzymanie przekazu.

Nie pytam, za co mam płacić karę, co to komu, a tymbardziej skarbowi austryackiemu szkodzi, że przekazu nie zrealizowałem zaraz po otrzymaniu go, bo wiem z doświadczenia, że nie należy nigdy szukać logiki i zdrowego rozsądku w przepisach urzędowych. Idę do biura wymiaru należytości i odszukuję znowu potrzebnego urzędnika. Ten, zbadawszy sprawę, oświadcza, że jeżeli chcę zapłacić tylko połowę kary, to powinienem sam donieść, na szczęście wolno donieść ustnie — o swojem przekroczeniu.

Po załatwieniu tej formalności drugi urzędnik spisuje ze mnie protokół, poczem pierwszy, ma się rozumieć na piśmie, wymierza mi karę połowiczną w kwocie mniej więcej półtora guldena i każe podpisać oświadczenie, że zrzekam się prawa rekursu. Ale nie koniec na tem. Urzędnik pisze adnotacyę o wymiarze kary na przekazie, nie oddaje mi go jednak, ale posyła z nim i ze mną i z pieniędzmi, które uprzednio złożyć musiałem, innego urzędnika do kasy. Tam wydelego-

wany urzędnik płaci należność wymierzoną i oddaje mi wreszcie przekaz. Ale bank już zamknięty i dopiero na drugi dzień mogę pieniądze odebrać.

Dodać trzeba, że przekaz był na 5 guldenów z centami, że zapłaciłem w formie kary blizko trzecią część tej kwoty i że straciłem w ciągu dwóch dni godziny przedpołudniowe.

A, prawda, zapomniałem — z banku, musiałem raz jeszcze wracać po podpis p. Dwernickiego, na którego imię przekaz był adresowany. I, niestety, dowiedziałem się w kantorze bankierskim, że wszystkie te formalności nie zabezpieczyły mię od nadużycia, bo karę wymierzono mi za wysoko, chociaż połowę jej łaskawie darowano.

Nazwałem fakt powyższy drobnym ale znamienym, bo doskonale wykazuje bezpłodność i niedorzeczność formalizmu biurokratycznego. Wyobrażam sobie wściekłość Anglika, przyzwyczajonego w ojczyźnie do używania czeków, a nawet przekazów pocztowych, jako zwykłej monety, który, zamierzywszy odbyć podróż do Galicyi, zaopatrzyłby się w przekazy na banki miejscowe, następnie przybył o kilka tygodni później, niż pierwotnie myślał i musiałby przechodzić całą tę procedurę, jaką ja przeszedłem. Przecie we wszystkich tych czynnościach od początku do końca nie ma za grosz sensu, nie ma najmniejszego uzasadnienia. Nawet Moskale już się domyślili, że przekaz może każdy sam ostemplować, kupiwszy markę, i przekreślić ją swoim podpisem przy pokwitowaniu. Skarb nic by na tem nie stracił, mógłby nawet podwoić cenę stempla i każdy chętnieby zapłacił, byle nie narażać się na stratę czasu i chodzenie po różnych biurach. Ale w takim razie kilkuset darmozjadów, wyznaczonych do spełniania różnych niepotrzebnych czynności, nie miałoby zajęcia, które ludność pracująca musi drogo opłacać.

Podobnych przykładów możnaby setki wyliczyć. Przytoczę jeden jeszcze, o którym już dawniej pisałem. Każda wkładka do pocztowej kasy oszczędności, gdziekolwiek w obrębie państwie austryackiego wniesiona, musi być zapisana w zarządzie centralnym w Wiedniu, ten zaś za każdym razem zawiadamia listownie o tym fakcie doniosłym obywatela, który zaoszczędził 50 centów. Przypuściwszy, że tylko pół miliona osób składa oszczędności w kasach pocztowych i że każda z tych osób uskutecznia tę chwalebną czynność 10 razy w ciągu roku — otrzymamy 5 milionów listów, które poczta rozsyła. Napisanie, ekspedyowanie i doręczanie tych 5 milionów kartek absorbuje bezcelowo siły co najmniej 500 ludzi. A przecie są jeszcze rozmaite sprostowania, reklamacye, wyjaśnienia i t. d.

Ma się rozumieć, są! Mój syn w siódmym roku życia złożył swoje oszczędności w kasie pocztowej, otrzymał książeczkę i nabazgrał na

niej swój podpis. Teraz ten klient kasy ma 10 lat i chociaż nie okazuje zdolności do kaligrafii, któreby mu pozwoliły zostać kiedyś porządnym urzędnikiem, pisze jednak lepiej niż przed trzema laty i zmienił charakter pisma. Otóż ilekroć bierze z kasy guldena na kupno zabawki lub książki, ma kłopot, bo urzędnik kwestyonuje prawdziwość jego podpisu. Wreszcie dostaje guldena, ale w Wiedniu jest taki pan, który znowu sprawdza podpis. Ten pan jest formalistą, więc pisze odpowiedni »kawałek« do Lwowa, gdzie dziecko wzywają do stawienia się w urzędzie pocztowym, żądają od niego dowodu, że jest tym samym, który miał niefortunną myśl złożenia pieniędzy swoich w kasie i. t. d.

To są przykłady, wzięte ze stosunków codziennych, ale ten sam formalizm bezcelowy, bezpłodny, niedorzeczny, czasem nawet świadomie złośliwy, panuje we wszystkich dziedzinach: w szkolnictwie, w sądach, w instytucyach samorządu, w stosunkach politycznych, i ekonomicznych, gdzie jest chyba najszkodliwszym.

Nie zewnętrzne objawy tego formalizmu biurokratycznego, które można zmienić i uprościć, ale duch jego, przenikający wszystkie dziedziny, znieprawiający umysłowość, obezwładniający postęp, inicyatywę samodzielność, to jest zło, z którym walczyć trzeba zasadniczo, które trzeba wyświetlać i tłomaczyć ludziom. Reformy zewnętrzne tego zła nie wyplenią, sprawią tylko tyle, że zamiast biurokratyzmu zachowawczego będziemy mieli radykalno-demokratyczny, bodaj gorszy, bo sprawniejszy i powszechniejszy.

Zamierzałem mówić o nowej gospodarce w Kasie oszczędności i likwidowaniu starej, ale tyle miejsca poświęciłem uwagom ogólnym, że muszę poprzestać na kilku tylko szczegółach. Dowolność o mało tej instytucyi nie zgubiła, systematyczność biurokratyczna może ją dobić, a w najlepszym razie zmniejszyć jej użyteczność. Z tego, co dziś o dawnej gospodarce wiadomo, okazuje się, że nadużycia, dokonane przez p. Zimę i jego wspólników, nie mogły zagrozić bytowi zasobnej instytucyi. Naraziła ją na straty i zachwiała jej powagę dowolność w szafowaniu kredytem na przedsiębiorstwa, niewątpliwie użyteczne, ale mające charakter spekulacyjny. Winnych uwięziono, lub usunięto pretensye kasy możliwie zabezpieczono — to należało zrobić. Trzeba było również powołać do kierownictwa nowych ludzi, ale nie wzorowych urzędników, tylko finansistów, mających pojęcie o stosunkach ekonomicznych i o interesach, którymi będą zarządzali.

Takich ludzi w Galicyi, produkującej wyłącznie urzędników w rozmaitych gatunkach i odmianach, trudno było znaleźć. Powołano tych, którzy wydawali się najlepszymi i którzy zdążyli już wykazać naiwność i nieudolność finansową. Sprzedaż należących do p. Szczepanowskiego

kopalni węgla w Myszynie i Dżurowie była wprost skandaliczną. I to nietylko dla tego, że jak wykazał *Kuryer lwowski* wartość gotowych zapasów węgla, nie licząc wartości maszyn, kolejki i samej kopalni, przewyższała cenę kupna, ale skandaliczną głównie ze względu na pobudki, które zarząd kasy do sprzedaży Myszyna i Dżurowa skłoniły. Zaznaczam, że nie były to pobudki nieuczciwe; ci finansiści-urzędnicy przerazili się, jak sami wyznali, że kopalnie kosztują kilkaset zł. dziennie. Nie rozumieli, że chcąc mieć dochód z kopalni, trzeba naprzód łożyć na wydobycie węgla, a jak w danym wypadku i na pompowanie wody. Dopiero specyalista na zebraniu walnem musiał im wyjaśniać taką rzecz, że kosztów pompowania nie oblicza się ceną robocizny, bo pompują maszyny, koszta zaś te nie mogą przenosić 50 zł. dziennie. P. Szczepanowski — usprawiedliwiali się — utopił w tem przedsiębiorstwie z górą 2 miliony, baliśmy się więc iść w jego ślady i woleliśmy sprzedać kopalnie za bezcen byle się pozbyć ciężaru. Tak rozumuje typowy urzędnik, który myśli o tem tylko, żeby możliwie najprędzej załatwić wyznaczony mu »kawałek«. Finansista rozumował by inaczej: właśnie dla tego, że p. Szczepanowski utopił w nich miliony, kopalnie mają dużą wartość. Bodaj czy z temi kopalniami i wogóle z przedsiębiorstwami p. Szczepanowskiego nie powtórzy się historya Żyrardowa. Bank polski, który tę fabrykę w zupełnie podobnych warunkach przejął na własność, przerażony wysokością nakładów sprzedał ją za bezcen wtedy, kiedy właśnie nakłady opłacaćby się wkrótce zaczęły. A szczęśliwi nabywcy tej fabryki zarobili na niej miliony.

Gospodarka urzędnicza zawsze jest jednakową, rutyniczną i lękliwą, formalistyczną i zarazem bezmyślną. Wszyscy ekonomiści, którzy przeciw niej występują, zgodnie ją krytykują za obawianie się nakładów.

Wogóle zdania, wygłaszane na walnem zebraniu członków kasy, służyć mogły za klasyczne przykłady naiwności finansowej i ekonomicznej i niedołęztwa biurokratycznego. Tak np. jeden z dostojników instytucyi dowodził, że w ogóle kontrola była niemożliwą — z powodu wadliwej ustawy. Drugi, poważny uczony, wyznał naiwnie, że przecie p. Zima na krótko przed katastrofą dostał wysoki order, nikt więc nie mógł przypuszczać nadużyć. Otóż chociaż niedawno mieszkam we Lwowie i niemam rozległych stosunków, przed dwoma laty słyszałem o milionowych kredytach p. Szczepanowskiego i chociaż nie jestem finansistą, powiedziałem zaraz, że katastrofa jest niemal nieunikniona. Wyraziłem nawet wówczas zdanie, że jednak dziennikarze lwowscy są na ogół uczciwi, skoro żaden z nich nie spróbował za przykładam kolegów zagranicznych urządzenia szantażu, bo p. Zima z pewnością gruboby zapłacił, gdyby mu zagrożono ujawnieniem faktu udzielenia jednej osobie

kilkumilionowego kredytu i wywołaniem za pomocą artykułów dziennikarskich popłochu wśród klientów kasy.

Najsmutniejszą stroną stosunków finansowych Galicyi jest ten fakt, że nie ma w kraju ludzi, którzy by mogli naprawić szkody, jakie dowolność i nadużycia wyrządziły. Są tylko urzędnicy, którzy mogą te stosunki do reszty zabagnić, nie dając rękojmi, że nadużyć nie będzie. Bo przecie przed katastrofami finansowemi mieliśmy szereg nadużyć, sprzeniewierzeń i kradzieży w różnych urzędach, w których kontrola formalna jest bardzo ścisłą.

I tak się dzieje we wszystkich gałęziach działalności publicznej, we wszystkich dziedzinach życia. Nie ma ludzi, którzyby mieli odwagę »na swej głowie zamiast gwiazdy kałakuckiej nosić gwiazdę myśli ludzkiej« — są tylko biurokraci formaliści... *J. L. Jastrzębiec.*

LISTY WARSZAWSKIE.

VII.

Nauczyciele wiejscy w Królestwie. Demoralizacya z góry. Objawy dodatnie. Stosunek społeczeństwa, zwłaszcza obywateli ziemskich i duchowieństwa do szkoły. Potrzeba zmiany tego stosunku.

Posłuszny Waszemu wezwaniu kreślę słow kilka o szkołach ludowych i ich bezpośrednich kierownikach u nas, z góry wszakże zapowiadam, że o ile o ogólną ich charakterystykę idzie, niewiele rysów będę mógł dorzucić do treściwego i trafnego wizerunku, jaki umieściliście w Nr. 19 1896 r. Po staremu, jak za najlepszych czasów Apuchtina, szkoła ma dążyć do tego, aby uczeń po przejściu kilkuletniego kursu nauczył się mówić i pisać bez błędu po rosyjsku, aby wszystko, co rosyjskie pokochał, ażeby poznał główniejsze fakty z historyi rosyjskiej i umiał na pamięć słowa i melodye kilka pieśni rosyjskich. Po staremu obowiązuje plan nauki języka polskiego, przez doświadczonych pedagogów na to obliczony, ażeby dziecko nie wyniosło najmniejszej korzyści z wykładu, udzielanego jednocześnie wszystkim razem zabranym oddziałom.

Szkoła atoli nie jest oczywiście taką, jakiej pragnie niestrudzona w zapędach rusyfikacyjnych władza, ale jakim jest nauczyciel. Gdzie stanowisko to zajmuje zaprzaniec, dla którego każdy środek jest dobry, byleby prowadził do pozyskania lepszej, nieco hojniej uposażonej posady w mieście, tam program powyższy jest wykonywany jak najściślej, chociaż nigdy nie bywa uwieńczony zupełnem powodzeniem. Jednostki, spodlone do szpiku kości tresurą seminaryjną, dają się i dziś jeszcze używać do szpiegowania spółkolegów i księży i wy-

krywania szkół tajnych. Jak dalece haniebny przykład donosicieli stać się może zaraźliwym, pouczają najlepiej okólniki, w których władza szkolna hamuje zbytek gorliwości, podkreśla niestosowność brania czynnego udziału wraz z policyą w polowaniu na zbrodniarzy, szerzących samowolnie naukę czytania i pisania, i kończy uwagą, że godzi się i można na denuncyacyi poprzestać, ponieważ ona „dosyć zaszczytu (*czesti)* przysparza". Ścisłe granice tego ustępstwa na rzecz etyki odświeżył niedawno w pamięci cyrkularz dyrekcyi naukowej piotrkowskiej, zalecający nauczycielom rozciągać baczny nadzór nad księżmi i donosić szczegółowo, kto i gdzie rozpowszechnia wydawnictwa i pisma ludowe, a mianowicie *Gazetę Świąteczną* i *Zorzę*.

Jeśliby przeważna część nauczycieli sładała się z wyuzdanych karyerowiczów, wyzutych z czci, wiary i sumienia, położenie byłoby nader smutne. Szczęściem są to nader nieliczne wyjątki, którym powodzenie materyalne nie zdoła wynagrodzić powszechnej pogardy i społeczeństwa i tej nawet sfery, wśród której się obracają. Niezawsze gorliwość odbiera zasłużoną zapłatę, w najpomyślniejszych zaś wypadkach na srebrniki Judaszowe długo czekać trzeba, ponieważ 30% ogółu nauczycieli stanowią Moskale, którym z prawa przyrodzonego należą się najlepsze miejsca i którzy do rzemiosła szpiegowskiego jeszcze bardziej są podatni, aniżeli nawet byli wychowańcy osławionego seminaryum w Siennicy.

Ogromną większość pomiędzy nauczycielami i nauczycielkami stanowi szara, bierna, obojętna, nader mało pod względem polskości uświadomiona i wyrobiona warstwa, której działalność pomimo a raczej dlatego, że jest apatyczną i niedołężną, bodaj więcej pożytku aniżeli szkody przynosi. Wakacye, trwające co roku przez kilka, czasem 8 miesięcy, nie poczynają się do spotęgowania w kierownikach szkół zamiłowania pracy, o szkopuł też gnuśnego ich lenistwa rozbijają się najczęściej zakusy rządowe. Egzamina, zarządzone tytułem próby dla przekonania się, co daje uczniom w zysku elementarna nauka, wykazały niezbicie, że chłopak wiejski w parę lat po rozstaniu się ze szkołą zapomina literalnie wszystkiego, co mu tak długo i mozolnie pakowano do głowy w obcym języku, i że trwałym nabytkiem pozostaje tylko umiejętność czytania na polskiej książce do nabożeństwa. Rezultat, biorąc rzecz ze stanowiska czysto pedagogicznego, niesłychanie marny, o tyle atoli ważny, że dodatni.

Zastęp pełnych poświęcenia pracowników, którzy pod okiem szpiegów i dozorców, spełniając pozornie obowiązki, jakie ohydne ciemięztwo na nich wkłada, duszą całą są oddani Polsce i misyi swej cywilizacyjnej, jest wprawdzie szczupły, od lat 4 lub 5 stale

wszakże wzrasta i do tym większych nadziei uprawnia, że się wytworzył z jednostek, które od ogółu ani poparcia ani zachęty nie miały, które dążyły drobnemi ścieżynami do jednakowego celu, nic o sobie nie wiedząc, które w sobie tylko, bez postronnej pomocy, zaczerpnęły siły do zwycięzkiej walki z trucizną, zaszczepioną im w seminaryum i z opłakanymi wpływami potępienia godnej obojętności społeczeństwa. Nie potrzeba zaiste świetniejszego dowodu, jak, świętą, niespożytą jest sprawa nasza, nad fakt, że zastęp taki istnieje, że się mnoży i do poważnego liczenia się z sobą zmusza.

W twierdzeniu tem niemasz żadnej zgoła przesady. W rodzinnej chacie wiejskiej nie mógł znaleźć przyszły nauczyciel puklerza przeciw wynarodowieniu, gdyby bowiem rodzice wiedzieli, — co czynią, to nie posłaliby swego dziecka na ławy seminaryjne. Na białej karcie duszy chłopięcej przez długie lat klasztornego odosobnienia żłobi rylec iście szatańskiej pedagogii z nieubłaganem okrucieństwem i z dziką srogością — obezwładniającą wszelką myśl trwogę przed władzą, wiarę we wszechpotęgę caratu i cesarza, pogardę dla wszystkiego, co nie moskiewskie. Zruszczona, znieprawiona moralnie i na duchu prawie zabita jednostka wraca w końcu do społeczeństwa i cóż tam znajduje? — wyniosłość i pychę, nieufność i podejrzliwość, żadnej próby zbliżenia się, żadnej pomocy w dalszem kształceniu się, nic coby mogło ośmielić do zawiązania jakich takich stosunków, które doprowadziłyby prawie zawsze do szybkiego spolszczenia i uobywatelenia ziomków o wiele więcej nieszczęśliwych aniżeli winnych i zajmujących nadto niezmiernie ważny posterunek. Zarówno ksiądz, jak dwór, trzymając się z zasady zdaleka od szkoły, traktują nauczycieli zwysoka i wietrzą w nich szpiegów, bez względu na to, jakie są owoce ich pracy i w jakim kierunku idą ich usiłowania.

Jeśli nasze klasy uspołecznione i uświadomione nie zastosują do każdorazowych okoliczności swej dotychczasowej, szablonowej taktyki, popełniają błąd, który pod względem zgubnych następstw niejedną zbrodnię przewyższy. Zachowując w całej mocy, a nawet zaostrzając bojkot moralny dla znikczemnionych do gruntu i bezpowrotnie straconych jednostek, można i trzeba dopomódz i zaufać ludziom, którzy w niezwykle trudnych warunkach wykazują niezłomny hart ducha i zasługujące na cześć najwyższą przywiązanie do sprawy. Czas na to wielki, albowiem rząd nowemi zarządzeniami utrudnił i bez tego utrudnione niezmiernie warunki walki. Projektowane podwyższenie rocznej płacy ze 100—200 na 200—400 rs. r. ma na celu przywiązać nauczycieli do ich zawodu i wzmódz ślepą ich uległość dla wszelkich rozkazów i wskazówek władzy, powołany zaś niedawno

do życia inspektorat szkolny spotęguje ścisłość dozoru i powiększy niebezpieczeństwo utraty miejsca, które zapewnia twardy wprawdzie i gorzki, ale niezbędny kawałek chleba.

Jakkolwiek pilne i naglące mogą być inne potrzeby, społeczeństwo nasze *zawsze* znaleźć powinno środki na czasową zapomogę i zapewnić stałe posady (od 30—40 rb. miesięcznie) takim nauczycielom, którzy za niedość sprężystą propagandę moskiewszczyzny miejsc swych pozbawieni zostali. Żywimy nadzieję, iż wszyscy, roszczący prawo do tego, że są obywatelami kraju, bez względu na różnice przekonaniowe i społeczne wezmą jak najgorętszy udział w spełnieniu tego kardynalnego obowiązku, który oczywiście w pierwszym rzędzie na stronnictwo demokratyczno-narodowe spaść musi.

Pamiętając o potrzebach materyalnych, nie powinniśmy zapominać o duchowych. Po wyjściu ze seminaryum czują się ci nieszczęśliwi ludzie, porzuceni na pastwę nudzie i bezczynności, tymbardziej odosobnionymi, że stosunki koleżeńskie nie łączą ich wzajemnie z sobą ani w szkole ani po za szkołą. Przygarnąć ich w tej chwili krytycznej, okazać sympatyę, dać im książkę, rozmowę w inteligentniejszem kole aniżeli włościańskie i tym drobnym wysiłkiem w najkrótszym czasie zatrzeć prawie bez śladu powierzchowną rdzę moskiewszczyzny, jest rzeczą równie łatwą, jak w najrzadszych tylko wypadkach u nas praktykowaną. Oby głos nasz trafił do serc i umysłów tych mianowicie czytelników naszych, którzy, zamieszkując dwory, wyznają w teoryi zasady demokratyczne, ale w życiu dotąd nagiąć się do nich nie chcą!

Dotknąć w końcu musimy stosunku plebanii do szkoły, na który dotąd zbyt mało, zdaniem naszem, zwracano, uwagi. Księża trzymają się zwykle na uboczu, okazując tak słabe zainteresowanie się szkołą, że nawet tam, gdzie mogliby bez żadnych przeszkód zająć się wykładem religii, z możności tej nie korzystają, Wyjątkowo tylko spotyka się nauczyciel z poparciem księdza, natomiast choćby był ożywiony najlepszemi chęciami i ani trudu ani pracy nie żałował, nic przeprowadzić i nic dokazać nie zdoła wbrew księdzu, mianowicie o ile idzie o wpływ na dorosłych. Przyznając się bez ogródek do zupełnej bezsilności wobec sutanny, twierdzą wszyscy nauczyciele, z którymi miałem sposobność szczerzej rozmawiać, że się im nieudało odnaleźć drogi któraby wiodła do zgodnego współdziałania z przedstawicielami duchowieństwa wiejskiego.

Nieośledniem będzie zadaniem inteligencyi tam, gdzie to będzie z pożytkiem dla sprawy, zapełnić przepaść, dzielącą obecnie księdza od nauczyciela. *K. J.*

GŁOS Z LITWY.

IV.

Wilno 20 czerwca.

Upadek gubernatorów. — Powrotna fala od... Murawiewa. — Śmierć księdza Marcinkiewicza. — Egzaminy szkolne w Wilnie i Kownie. — Sławetny Hilary Raduszkiewicz i etyka lekarska w Wilnie. — Bank handlowy i jego działalność społeczna. — Czesław Jankowski na uczcie jubileuszowej Puszkina w Petersburgu. — A jednak...!

Od połowy marca r. b. byliśmy świadkami dość oryginalnej i ciekawej walki między generał-gubernatorem wileńskim i trzema jemu podwładnymi gubernatorami: *Czepielewskim* wileńskim, *Batiuszkowem* grodzieńskim i *Suchodolskim* kowieńskim. Z jednej strony stał *Trockij*, jako przedstawiciel jedynowładztwa w miniatnrze, z całym zasobem jego arogancyi, intryg i dzikości, z drugiej zaś może wyjątkowo ludzie względnie porządni, zdolni, w miarę ambitni, choć szczerzy Rosyanie i ściśle przestrzegający zasadniczych wskazań polityki rządu na kresach. Rzecz się rozpoczęła od głupstwa, jak zwykle, ale przybrała rozmiary walki o zasadę i... zwyciężyły arogancya, intrygi i dzikość. Na szpaltach miejscowego dziennika urzędowego *Wileńskij Wiestnik* ukazał się okólnik generał-gubernatora do gubernatorów, pod względem formy wysoce grubiański, a w treści, jak się później okazało, zgoła kłamliwy i niesprawiedliwy, który, wskazując na bezład i nadużycia w zarządach mieszczańskich, publicznie stawiał pod pręgierz opinii publicznej gubernatorów. Najciekawszem jest to, iż oskarżeni wprzód z dziennika, niźli drogą właściwego porozumienia poznali treść owego okólnika. To też nie dziw, że oburzyli się wszyscy: grodzieński niezwłocznie podał się do dymisyi, a wileński i kowieński podjęli walkę poważną i wspartą na dokumentach niezbitych. Lecz próżne były wysiłki skrzywdzonych, próżne odwoływania się do ministrów, Senatu i samego cesarza: byli winni, gdyż byli ludźmi i te ludzkie uczucia przechowali przy pełnieniu swych obowiązków, a tego się nie toleruje w guberniach północno-zachodnich. Musieli tedy ustąpić i tem samem zapewnić tryumf idei niewzruszoności dobrych początków Murawiewa-Wieszatiela. I tamten był sam jeden, i tamten rządził absolutnie i założył podwaliny trwałej budowy, więc...

Wileńskim gubernatorem został JO. książę *Gruziński*, zarówno jak warszawski Imeretyński jeden z owych zwyrodniałych i spodlonych synów niegdyś wolnego i kulturalnego szczepu na Kaukazie, dziś carski służalec i niewolnik własnej, spodlonej duszy. Jakoż w sam czas książę Gruziński, dotychczasowy wicegubernator, otrzymał nominacyę i bezpłatne mieszkanie w gmachu rządowym, gdyż już od 1 lipca był zagrożony... mieszkaniem na bruku. Rzecz na tem polega, iż pan ten dotąd, zamiast

Otóż w takiem to piśmie Żydek-reporter, umieścił niedawno dość przezroczystą wzmiankę o pewnym lekarzu, który wymyślaniem, złością, a wreszcie schowaniem recepty znaglał chorą w swoim gabinecie aby mu zapłaciła nie pół rubla, jak chciała, lecz całego rubla.

Zresztą nie on jeden jest taki, a mówię tylko o »lekarzach Polakach, których miasto liczy około 60.

Ostatecznie cała sprawa byłaby zapomniana, gdyby nie okoliczność, iż w kilka dni później na szpaltach tego samego dziennika *Siewiero-zapadnoje Słowo* wyczytaliśmy osobiste tłumaczenie się z zarzutu doktora Hilarego Raduszkiewicza. W jakże głupi i śmieszny sposób odezwały się nożyce.

Dodajmy tu jeszcze, że p. H. R. jest *rzeczywistym radcą stanu*, że ma wielki mir śród duchowieństwa, że na cmentarzu Rossa już od lat kilkunastu zbudował sobie pyszny grób z gotowym napisem nazwiska i tytułów, że wreszcie jest bogaty i bezdzietny. I pomyśleć jeno, że taki okaz marności duchowej przez tyle lat zdołał zajmować dość wybitne miejsce śród naszej inteligencyi? Że dziś nawet ma swych przyjaciół i obrońców! Z prawdziwą też przyjemnością dowiadujemy się, że staraniem kilku uczciwych lekarzy sprawa ma być poruszona na zebraniu Towarzystwa lekarskiego i skończy się zapewne usunięciem tego pana z grona członków instytutu. Będzie to jeden więcej krok do rozbudzenia uczciwej opinii publicznej, która przecież nie cała zdarła się w przedpokojach generał-gubernatorskich i na rozmaitych urzędach publicznych.

Już to, prawdę rzekłszy, ciężko jest wyżyć człowiekowi zdrowemu w Wilnie, lecz nad siły ludzkie chorować tu i leczyć się; w skłębionem mrowisku lekarzy Polaków, Litwomanów, Żydów i Rosyan dzieją często, zbyt często, rzeczy ohydne i oburzające i tych nie osłania kilka istotnie szlachetnych jednostek pod względem charakteru i zrozumienia obowiązków lekarskich, które służą społeczeństwu z oddaniem się i zaparciem.

A szkoda! 60 (sześćdziesięciu) ludzi (tylu jest lekarzy Polaków) należących do inteligencyi — to siła nie do odrzucenia, któraby mogła ująć ster spraw społecznych w ręce, gdyby zechciała wyjść z marnego koła konkurencyjnych zabiegów.

Posiadamy w Wilnie *Bank handlowy*, nasz własny, polski, a polski dla tego, iż obsługują go Polacy, czerpią z niego dochody Polacy i za jego pośrednictwem robią ładne obroty.... nie Polacy lecz Żydzi. Zdaniem p. p. założycieli, a tymi byli bogaci akcyonaryusze Banku ziemskiego, Bank handlowy jest patryotyczną ostoją; możnaby się wprawdzie nieco wykłócić o właściwość tej nazwy, lecz czyż nie lepiej

płacić komorne, straszył gospodarzy domów policyą, komisyami i protokołami i t. p. łajdactwami, więc przebrała się w końcu miarka i ogół kamieniczników sprzysiągł się, by go nie puścić do swych domów.

Lecz nas bardziej interesuje ów zwycięzki *Trockij* Kto on taki? Parweniusz z rodu i zasług, pospolitak wojskowy i rubacha, arogant i głupiec — oto wszystko, cośmy o nim dotąd wiedzieli, ale wola carska zrobiła go wielkim i takim zostanie aż do końca. Kiedyśmy pytali o niego jednego z kolegów wojskowych z epoki wojny tureckiej, tak nam mówił ze swadą; »Ależ to, panie, świetny był towarzysz i kolega. Kiedyśmy przebywali w dzikich krainach zakaspijskich i armeńskich, można było oszaleć z braku towarzystwa i rozrywek. Wtedy Trockij, już generał, często przebrawszy miarkę z kolegami, wyzywał towarzyszów do zabawy w »kukułkę«. Pan zna »kukułkę«? To pyszna zabawa! Oto jednemu z biesiadników szczelnie zawiązują oczy i dają rewolwer nabity w rękę, kilku zaś innych ucieka po obszernym pokoju i kukaniem daje znać o sobie. Więc strzela się w kierunku usłyszanego głosu, a celny strzał opłaca się np. butelką szampana«.

Tak, to piękna zabawa! Właśnie ją sobie przypomniał Trockij i... wystrzelał wszystkich gubernatorów.

A teraz fakt inny... Oto młodziutki, przed rokiem dopiero wyświęcony kapłan ks. Marcinkiewicz zostaje wikarym na wsi. Gorliwość kapłańska z jednej strony, a powolność żądaniom ubogich parafian z drugiej już po roku podkopują słabe siły młodzieńca. Więc troskliwa matka przywozi całą nadzieję rodziny do miasta i wzywa lekarzy do jego łoża. Lekarze zalecają niezwłoczny wyjazd do jednego z leczniczych zakładów zagranicznych. Nieszczęśliwa matka zbiera resztki, trochę dopożycza i ze łzą w oku staje z podaniem u generał-gubernatora. Czekała *tylko miesiąc* i otrzymała odpowiedź *odmowną.* Zresztą już Opatrzność odmówiła swego pozwolenia, bo biedny chory zmarł w tydzień później.

Po tym wypadku, który stał się na wiosnę, udało się kilku spasłym prałatom zdobyć paszporty do Karlsbadu. No, ci są bezpieczni dla rządu pod każdym względem.

Ha! przykry to temat, poszukajmy — weselszych. Oto ksiądz *Olechno*, kapelan z pensyonatu żeńskiego, z piersią, ozdobioną kilku orderami, egzaminuje dziewczynki do pierwszej klasy z religii (naturalnie po rosyjsku),

— Jakiego koloru byli potomkowie Chama?

Dziecko milczy. — Obecny asystent Rosyanin uśmiecha się dobrotliwie i tłómaczy:

— Czarnego, czarnego; przecież to Murzyni, którzy do dziś zaludniają Afrykę.

A nieco później,

— Ile wziął Noe wołów do arki? — pyta ks. Olechno.

— Dwa odpowiada dziecko. —

— A ile karasi?

— Siedm — mówi zakłopotana, po dłuższym namyśle.

Egzaminujący i asystent śmieją się bardzo głośno i bardzo... głupio. I to jest egzamin z religii, dokonywany przez księdza?

W Kownie zaś staje do egzaminu z geografii kandydatka do 3-iej klasy.

— Jak się nazywasz?

— Józefowicz.

— Ach! to twoja siostra w przeszłym roku nie umiała wyliczyć członków Domu Najmiłościwiej panującego u nas?... bada nauczyciel.

Dziewczynka milczy, może myśli o tem, że te słowa *u nas* są zbyt niedokładnem określeniem.

— To dobrze. Powiedz mi tedy, jak się nazywa Cesarz? jakie jego nazwisko?

Pytana milczy, snadź nie posiada tak potrzebnej wiadomości z geografii.

— Kto był ojcem *Hosudara Batiuszki*?

— Aleksander II — lękliwie odpowiada dziecko.

— *Dawolno!* — wykrzykuje złośliwie uśmiechnięty pedagog i zapisuje zły stopień z... geografii.

Ależ to temat, jeszcze smutniejszy! — mógłby ktoś z czytelników zawołać. — No, to już teraz dam coś z bardzo niezawodnej humorystyki, choć z góry nie ręczę za... dobry humor.

Może nawet nie wiecie, że od pół roku mamy w Wilnie nowy organ, prócz osławionego dawnego, organ, który swoje narodziny obwieścił szeroko, trąbiąc o liberalizmie i zamiarze działania w duchu potrzeb miejscowej ludności. Takiem miało być *Siewierozapadnoje Słowo*, powołane do życia przez kapitały żydowskie, a zostające pod kierunkiem p. Kłoczkowskiego. Ciekawy to typ — Polak wyrodny, zbankrutowany oficer gwardyi cesarskiej, przeżyty niegdyś Dou-Juan, a dziś... parobek żydowski.

Takie określenie redaktora pozwola mi już nie mówić o kierunku pisma i jego działalności. Wystarczy, gdy wspomnę, iż to pismo *ani jednego wiersza* nie poświęciło pamięci Mickiewicza, a tak się zachowuje wobec społeczeństwa naszego, jak lichwiarz wobec doszczętnie ograbionego dłużnika.

wskazać na .... fakty. — W marcu r. b. jeden z młodszych urzędników został aresztowany przez żandarmów i osadzony w t. zw. XIV pawilonie (dla przestępców politycznych). Na drugi dzień z rozkazu dyrekcyi urzędnik został wykreślony z listy pracowników Banku; a więc dyrekcya, nie wchodząc, czy urzędnik winien lub nie, uznała za właściwe wespół z żandarmami ukarać biedaka bez dowodów. W dwa miesiące później, gdy ów urzędnik jeszcze był w więzieniu, przyszedł na jego imię list polecony z Szwajcaryi i, przyjęty przez służbę, został złożony na biurku dyrektorskiem. Po kilku dniach *sumiennej narady* dyrekcya poleciła odesłać list ..... żandarmom.

Ale oto w parę dni po tym fakcie wypuszczono urzędnika z więzienia za małą kaucyą i żandarm wręczył mu ów list ze słowami gorzkiej ironii.

— Czy pan widzisz, jak z nim postępują nawet swoi?

Tak, — zobaczył i, odtąd nie dziw, gdyby został zaciętym wrogiem *tych swoich*, o ile służą w bankach i zajmują posady kierownicze.

Całe to zajście z urzędnikiem i listem poruszyło do żywego ogół naszej inteligencyi i pół-inteligencyi, szkoda jeno, że oburzenie nie wyszło po za granice cichej i milczącej wzgardy.

Dyrektorami banku handlowego są p. p.: *Solmonowicz i Szmigiera*, lecz po nad nimi stoją zawsze i wszędzie dyrektorowie banku ziemskiego p. *J. Montwiłł i A. hr. Plater.*

Dodać tu jeszcze potrzeba, że wszystkim tym panom nie brakło poczucia marności dokonywanego czynu, gdyż, posyłając odezwę z listem do żandarma, *kazali ją podpisać podwładnym sobie urzędnikom*, a sami się zakryli brakiem czasu i bólem głowy.

Jubileusz Puszkina, mimo starania policyi i przeróżnych działaczy, przeszedł u nas bez żadnego wrażenia: tłumy, ściągane muzyką i chorągwiami, składały się z żołnierstwa i Żydów, którzy oczywiście po raz pierwszy posłyszeli o jakimś Puszkinie.

Nasza inteligencya również zachowała się powściągliwie, choć p. *Piltz* urządzający biesiadę puszkinowską w Petersburgu, dość liczne nadesłał zaproszenia o udział. Nie byłoby nawet nikogo, gdyby nie... *Czesław Jankowski.* — Ów zbankrutowany literat i dziennikarz polski pospieszył nad Newę, by reprezentować...... siebie. Tak sądzimy przynajmniej, boć niepodobna przypuścić, aby śmiał myśleć o przedstawicielstwie Litwy.

Lecz któż odgadnie, co ten pan myślał i czego chciał, jadąc do Petersburga na ucztę; dość przecie, że jest współpracownikiem pisma, którego redaktor ma siebie za pierwszorzędnego gimnastę i żonglera.

I słusznie — tego mu nikt nie odmówi.

Więc smutno na okół i smutno nad wyraz wszelki.....

A jednak....

A jednak współcześnie płynie skądś jakiś podmuch ożywczy i zdrowy, co niesie ciche nadzieje lepszej i dość blizkiej przyszłości. P. Piltzowi z szeregiem marnych wyznawców, ani Trockiemu na czele „komitetów trzeźwości", ani różnym zaprzańcom i obstrukcyonistom nie wstrzymać fal życia narodu, nie przeprzeć gorących i zwartych usiłowań ludu.

Oto Zielone Świątki.

Do wileńskiej Kalwaryi ściąga tłum kilkudziesięciotysięczny ludu, jednem uczuciem przejętego, ażeby westchnąć przed ołtarzem Patronki Ostrobramskiej i w pobożnej pielgrzymce przed obrązami Męki Pańskiej niby uświęcić rany i męki własne.

Idą owe tysiące, pyłem i potem zasnute, zczerniałe od słońca, a nieraz i głodu, idą ciche i pokorne, czasem tylko powtarzając słowa modlitwy; a jednak zuchwały policyant zapada kędyś w mysią dziurę, butny urzędnik i oficer uchodzą bokiem, tylko członkowie okręgu naukowego i komitetu trzeźwości bezsilnie zgrzytają zębami z wściekłości, parskają jadowitą sliną i . . . . . także wynoszą się chyłkiem.

Oddawna już nie widziano tu tak wielu pobożnych pątników, chociaż Kalwarya wileńska przeszło sto lat liczy istnienia. Biedny i zbolały lud Litwy i Rusi stawił się tu z najdalszych zakątków. Więc poważnie idą zamożni i hardzi Żmudzini od Połągi, Szawel i Kroż, a każdy z parasolem w ręku — to ambicya chłopa litewskiego ten parasol, który po rozpięciu może służyć nieraz za namiot dostatni. Ci najczęściej przyjeżdżają koleją żelazną. — Oto kupka jedna i druga Białorusinów z błot i kątów deskami zabitych — od Bucławia, Krajska, Derewny i Smolewicz. Mniejsi postacią, czarni, zgnębieni przez popów i policyę, zduszeni biedą i prześladowaniem, zdołali ujść pokryjomu z pod oka oprawców, bo taka pielgrzymka do Kalwaryi często uważa się za występek, — idą, świecąc nagiemi, zdeptanemi stopami i lękliwie się oglądają, czy aby nie widać *popa* i *urzędnika*.

Są i ze stron bliższych, lecz przychodzą i z dalszych, o mil kilkanaście i kilkadziesiąt, nieraz o wodzie z przydrożnej kałuży i wyżebranym chlebie.

Lecz idą żądni pociechy i błogosławieństwa, garnąc się do stóp Sprawiedliwej i Dobrej Patronki.

Ecce mater!

Przez kilka dni z rzędu ów tłum przewija się barwną wstęgą z pieśnią i modlitwą, zarówno w dzień jak i w nocy bez przerwy, w lesie kalwaryjskim od kapliczki do kapliczki.

Lecz i tu o nim nie zapomniano.

Między pierwszą i drugą stacyą leży dawny kościół z klasztorem Trynitarzy, dziś cerkiew i letnie mieszkanie *archijereja.*

Więc pieni się ów na to sąsiedztwo, a bawi myśli własne nadzieją nowego udręczenia. Ta pieśń rozmodlonego ludu snadź budzi w nim spodlone sumienie, bo przy pomocy policyi wydaje rozkaz, ażeby partye, przechodząc koło jego siedziby, nie ważyły się śpiewać.

Doskonale!

Kilkadziesiąt tysięcy ludu milknie ze zdumieniem, lecz za to ma dziesięć minut czasu na rozmyślania, co to jest *archijerej prawosławny*, co to jest rząd *dobrotliwy*, co to jest sprawiedliwość *moskiewska.*

W mieście przecie, czy to w dzień czy w nocy, rozlega się śmiało dzika i hulaszcza pieśń żołdactwa, nieraz sprośna aż do bezwstydu, ale śpiewana po rosyjsku. A tam w lesie, o milę za miastem, nie wolno śpiewać modlitwy, gdy się chce ją śpiewać *po polsku.*

Dobrze. Za dni kilka cały kraj wiedzieć o tem będzie, a w tysiące piersi zapadnie ziarno żalu i skrytego gniewu.

Litwin.

LIST Z ŁOMŻY.

Objawy znikczemnienia naszej inteligencyi. — Filary polityki ugodowej. — Szambelan i książę — *ambo meliores.* — Naczelnik Spirydonow i historya budowy cerkwi prawosławnej w Ostrowiu.

Oburzające nadużycia władz rosyjskich, których istnienie w kraju naszym jest wielkiem i ciągłem bezprawiem, przybierają na prowincyi koloryt o wiele posępniejszy, niż w Warszawie, nie dlatego nawet, żeby prowincyonalni przedstawiciele władzy byli gorsi od wielkorządców stołecznych, lecz z powodu mniejszej, (na ogół bardzo słabej), odporności społeczeństwa. Należałoby raczej może karcić publicznie spodlenie obywateli, niż zaznaczać chroniczny ucisk rządowy, przeciw któremu tak słabo reagujemy.

Doprawdy, uczciwemu Polakowi trudno wystawić sobie możność takiego upodlenia, jakiego przykład dała świeżo ochotnicza straż ogniowa w Łomży. W imieniny carowej (dzień galowy), naczelnik straży ochotniczej, człowiek w życiu prywatnem porządny ale w sprawach politycznych bezmyślnie głupi i tchórzliwy, p. Chodźko — wezwał podkomendnych na zebranie przy szopie strażackiej i, poczęstowawszy zdumionych strażaków słowami: »chodźmy do kościoła pomodlić się za cesarzowę Wszechrosyi i... królowę polską« — poprowadził ich na nabożeństwo galowe. Z 200 strażaków zjawiło się na galówkę 57, na drugą przyszło 30.

Jeszcze gorzej postępuje straż ogniowa w Ostrołęce, bo członkowie jej, niegodni imienia polskiego, w rocznicę nieszczęśliwej dla nas bitwy pod tem miastem w r. 1831, zjawili się w paradnych mundurach na nabożeństwo prawosławne, które odprawiono na błoniach, pod pomnikiem, wystawionym na upokorzenie Polaków przez Mikołaja I. Doprawdy, podziwiać wobec tego należy skromność rządu, ktory w nowej ustawie normalnej dla straży ogniowych w Królestwie zażądał tylko prowadzenia obrad po rosyjsku, kiedy od tych spodlonych potomków »czwartaków« mógł śmiało zażądać, żeby rozmawiali ze sobą w domu i na ulicach po rosyjsku, bo to język »najmiłościwszego« monarchy, no, i... Puszkina. Jubileusz Puszkina ujawnił również »prymusów« upodlenia obywatelskiego. Filary ugodowców łomżyńskich, rejent Korolec i adwokat Maryan Śmiarowski, ludzie, którzy są gotowi pływać choćby po bagnie byle po wierzchu i z niezwykłą przyjemnością na żądanie władzy udający przedstawicieli miasta Łomży to na koronacyi, to podczas przejazdu generał-gubernatora, obecnie na pierwsze żądanie marnego czynownika Moskala zapisali się ostentacyjnie na wspaniałe wydawnictwo dzieł Puszkina, kosztujące 200 rubli. A czy mają dzieła Mickiewicza — spytajcie ich — a ile dali na jego pomnik? P. Śmiarowski bardzo gorliwie krzątał się, kiedy zbierano *milion rubli* na dar dla cara, a jednocześnie pogardliwie kiwał małym lewym palcem na rzecz pomnika Mickiewicza. Zapewne, wolno tym panom kupować sobie książki, jakie im się podobają, ale w danym wypadku nie jest to sprawa prywatna, bo podobne przykłady demoralizują otoczenie.

Obaj ci panowie uchodzą w przekonaniu swych współwyznawców za tęgie głowy polityczne. Sława ich jednak nie wychodzi za rogatki miasta Łomży, w najlepszym razie za granice ziemi łomżyńskiej i niedorównywa sławie »znanego w całym kraju obywatela«, szambelana Stanisława Skarzyńskiego. Tego dla »mocnej« (iście kamiennej) głowy szlachta łomżyńska wybiera od szeregu lat do Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Szambelanem zrobił p. Skarzyńskiego Aleksander III za to, że p. Skarzyński, przyjmując cara w majątku swym Popowie, na zapytanie: czy umie po rosyjsku? — odpowiedział: »my obywatele ziemscy wszyscy umiemy po rosyjsku i lubimy ten język«. Skarzyński z najlichszym urzędnikiem Moskalem po rosyjsku rozmawia i nie wstydzi się robić tego publicznie. Przyjacielowi swemu generałowi Hofmanowi przywiózł umyślnie z Paryża hymn *Boże caria chrani* po francusku. Znanego zdziercę, naczelnika powiatu w Szczuczynie Spirydonowa Skarzyński wpływami swymi do spółki z b. archijerejem prawosławnym, osławionym Flawianem, ocalił od sądu. Nie lepszym od tego pana jest sąsiad jego, książę Maciej Radziwiłł, który, gdy mu zabierano

ziemię i kościół pod fort w Zegrzu, powiedział do Aleksandra III: »dla dobra ojczzzny gotów jestem wszystko oddać«. Tacy panowie, zachowując się w podobnie nikczemny sposób wobec wysokich i najwyższych sfer rosyjskich, nietylko poniżają naród polski, ale utrwalają te sfery w przekonaniu, że dotychczasowy system polityczny jest najlepszy, skoro daje takie pożądane dla Rosyi rezultaty.

Głośną obecnie sprawą w ziemi łomżyńskiej jest historya budowy cerkwi prawosławnej w mieście powiatowem Ostrowiu (właśnie Ostrowi). Wspomniany wyżej Spiridonow był dawniej naczelnikiem powiatu ostrowskiego. Przyciśnięty do muru za zbyt bezczelne, nie dające się ukryć przestępstwa służbowe i ździerstwa, »prześladowany« przez mieszkańców powiatu, którzy wciąż podawali na niego skargi do władz wyższych, Spirydonow chwycił się niezawodnego środka umocnienia swego zagrożonego stanowiska. Oto zwołał ławników magistratu i kilku mieszczan i zaproponował im, że najlepiej przypodobają się carowi, gdy wystąpią z podaniem do rządu, wyrażającem gotowość ofiarowania z kasy miejskiej 4000 rs. na budowę w Ostrowiu cerkwi prawosławnej na pamiątkę koronacyi Mikołaja II. Z początku mówił nawet o ofiarowaniu tylko 2000 rs. na szpital, później jednak w protokole napisano 4000 rs. i nie na szpital, ale na cerkiew. Wówczas jeden z ławników człowiek stary zwrócił uwagę naczelnika, że taki znaczny wydatek powinno uchwalić ogólne zebranie mieszczan - rolników, (tytuł urzędowy obywateli, mających prawo głosu). Za to odezwanie się naczelnik powiatu kazał ławnika natychmiast aresztować, co nawet według praw rosyjskich jest uważane za przestępstwo poważne, gdyż ławnik pełnił wówczas służbę rządową. Tym sposobem i rozmaitemi groźbami stary ławnik zmuszony był do uległości i zgodził się podpisać uchwałę. Następnie Spirydonow, któremu znany złodziej i łapownik, naczelnik powiatu opoczyńskiego Herman nie wart butów czyścić — wzywał pojedyńczo do swego biura obywateli i za pomocą groźb lub podstępów wymuszał ich podpisy. Gdy jednak nawet tą drogą nie mógł zebrać odpowiedniej liczby podpisów, uciekł się do praktykowanego zwykle przez urzędników rosyjskich w podobnych wypadkach środka i za 300 czy 400 obywateli, rzekomo lub rzeczywiście nie umiejących pisać, podpisywali się różni szubrawcy, protegowani naczelnika. W ten sposób sporządzona uchwała obywateli kotolików i żydów (bo obywateli prawosławnych nie ma wcale w mieście), takie jednak miała cechy widocznego fałszerstwa, że nawet trawiona gorączką *oprawosławlenija* Polski władza wyższa *trzy* lata rozmyślała: czy tego rodzaju uchwała zbudowania cerkwi na pamiątkę koronacyi może być zatwierdzoną. Ale Spirydonow dopiął celu, bo gdy go za inne nadużycia pociągnąć chciano do odpowiedzial-

ności, ujął za nim archijerej Flawian i uwolnił go nie od kary, bo tej unikają notoryczni złodzieje i nawet zabójcy, ale od sądu. Dla przyzwoitości przeniesiono tylko Spirydonowa z Ostrowia do Szczuczyna, gdzie w dalszym ciągu uprawia systematyczne łupienie ludności.

Ale po wyjeździe jego zaczęło się dopiero zbieranie, a właściwie »zdzieranie« ofiar dobrowolnych na budowę cerkwi, nietylko w gubernii łomżyńskiej, ale i po za jej granicami, ba, nawet na przeciwległym krańcu Królestwa. Szczególnym dobrodziejem cerkwi w Ostrowiu okazał się gubernator piotrkowski Miller, sprawosławiony i pozornie zmoskiewszczony Niemiec. Fabryka »Grodziec« wysłać musiała na swój koszt 20 beczek cementu, bogaty fabrykant Dietel z Sosnowca (protestant), szczególnie szczodrobliwy dla cerkwi prawosławnych, dał 200 rs. inny fabrykant Niemiec ofiarował blachę na pokrycie dachu, żyd Entelman dostarczył materyału drzewnego. Dodać tu trzeba, że rząd odmówił z lasów swoich drzewa na budowę tej cerkwi. Chłopi musieli również okazać ofiarność, kazano im bowiem zwozić bezpłatnie kamienie na budowę nawet z odległych miejscowości powiatu.

Sprawa, którą powyżej opowiedziałem, jest typową. Władza wyższa, przenosząc Spirydonowa, pośrednio uznała, że dopuścił się on nadużycia, wymuszając uchwałę na budowę cerkwi. Ale pomimo to i pomimo że cerkiew w Ostrowiu jest niepotrzebna zupełnie, władza wyższa projekt z radością przyjmuje i dokłada wszelkich starań, żeby wprowadzić go w życie.

K... n.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

Wysłanie do Hagi delegata Związku Wychodztwa polskiego. — Pobyt Lewakowskiego w Hadze. Przemówienie jego na konferencyi publicznej. — Reklamowanie p. Blocha. — Odprawa w *Times'ie.*

Wydział Związku wychodztwa polskiego w przekonaniu, że sprawa polska powinna mieć w Hadze przedstawiciela, „który żywem słowem poparłby zawarte w *Memoryale* warszawskim argumenty“ — powierzył dr. Karolowi Lewakowskiemu mandat „przedstawienia i bronienia polityki polskiej demokratyczno-narodowej tak wobec członków konferencyi, jak wśród przebywających obecnie w Hadze dyplomatów i polityków różnych narodowości.“

W „liście otwartym“, który jest jakby instrukcyą dla delegata Związku, powiedziano: „*Memoryał* warszawski posłuży Ci za punkt wyjścia i podstawę w działaniu, zadaniem Twojem jednak będzie wyciągnąć zeń konkluzye, których autorowie dokumentu nie uważali

za stosowne uwydatnić. Wypadnie Ci więc wykazać: że rządy które Polskę rozebrały, nie uszanowały zobowiązań zaciągniętych dobrowolnie na mocy traktatów, — że Rosya mianowicie i Prusy gwałciły i po dziś dzień gwałcą dyplomatyczną legalność, będącą przecież prawem dla wszystkich rządów regularnych; że państwa te w odniesieniu do Polaków nie stosują się bynajmniej do przepisów traktatu wiedeńskiego, dotyczczas je obowiązującego, że nie szanując legalnych nawet zobowiązań, na ich korzyść sztucznie ustanowionych, lekceważą tymbardziej zasady sprawiedliwości i słuszności, jedyne jakie my uznajemy, które zapewniają narodom (a któżby śmiał tego miana nie stosować do Polski tak dotąd żywotnej, mimo sto lat trwającego rozćwiartowania i ucisku) organizacyę polityczną niezależną i korzystanie z wszelkich praw, a przedewszystkiem z prawa rządzenia się samym sobą.“

„Będziesz — czytamy dalej w „liście otwartym“ — wiernym tłomaczem uczuć olbrzymiej większości Polaków, głosząc w Hadze, że rozbrojenie i pokój, tak ze strony słabych, jak i ze strony silnych, wówczas dopiero staną się możliwymi, gdy nie będzie narodów ujarzmionych, na punkcie ich najświętszych praw gwałconych. Stosuje się to przedewszystkiem do narodów, będących w niewoli, z których przedstawicielami wypadnie Ci wejść w bliższe porozumienie, gdyż Polska jest zawsze całem sercem ze słabymi przeciw ciemięzcom“.

Posłuszny temu wezwaniu Lewakowski pojechał i, rozejrzawszy się na miejscu, oświadczył, że ma zamiar urządzenia konferencyi publicznej o sprawie polskiej. Gdy się o tem dowiedział przedstawiciel Rosyi, zażądał od rządu holenderskiego, żeby nie pozwolił Lewakowskiemu urządzać konferencyi, a nawet żeby go zmusił do do wyjazdu z Hagi w przeciwnym bowiem razie zagroził, że sam wyjedzie. Istotnie na konferencyę publiczną pozwolenia nie dano, a władza miejscowa poprosiła Lewakowskiego o pokazanie pasportu lub innej odpowiedniej legitymacyi, sądząc zapewne, że ma do czynienia z emigrantem. Gdy się jednak okazało, że Lewakowski jest obywatelem austryackim, który może odwołać się do przedstawiciela Austro-Węgier w Hadze, — zostawiono go w spokoju.

Wiadomość o wystąpieniu posła rosyjskiego rozeszła się szybko w sferach politycznych i gdy następnie Lewakowski złożył wizyty przedstawicielom różnych państw, (z wyjątkiem rosyjskiego i pruskiego), większość dyplomatów oświadczyła, że oficyalnie przyjąć go nie może. Niektórzy wszakże delegaci, jak np. austryacki, angielski i t. d. wysłali dla porozumienia się z nim swoich sekretarzy. Byli jednak i tacy dyplomaci, którzy, niezwracając uwagi na dąsy przedstawiciela

Rosyi, uprzejmie przyjęli Lewakowskiego, mianowicie delegaci włoski i szwajcarski.

Protestować skutecznie przeciw zakazowi urządzenia konferencyi nie było można, bo chociaż kilku, czy nawet kilkunastu posłów oświadczyło natychmiast gotowość interpelowania rządu w tej sprawie, na nic by się to nie zdało, gdyż na czas trwania konferencyi posiedzenia parlamentu holenderskiego są zawieszone.

Znalazła się jednak rada. Lewakowski dowiedział się, że przedstawiciel Młodo-Turków Achmet Riza bej urządza konferencyę, otrzymawszy poprzednio pozwolenie, którego mu nie odmówioną, bo z delegatem tureckim nie robią sobie ceremonii. Przedstawiciel Turcyi naśladował podobno kolegę rosyjskiego i groził również wyjazdem z Hagi, ale bez skutku, bo pozwolenia, urzędownie wydanego, nie można już było cofnąć.

Lewakowski, otrzymawszy zaproszenie na publiczną konferencyę młodo-turecką, przybył na to zebranie i, skorzystawszy ze sposobności, wygłosił mowę, o której z uznaniem mówi nawet płatny chwalca Rosyi Stead, redaktor *Pall Mall Gazette.* Stead redaguje dział francuski, poświęcony wyłącznie konferencyi w najpoważniejszym dzienniku miejscowym. Sprawę polską nazywa utopią, ale przyznaje, że mowa Lewakowskiego zrobiła duże wrażenie, ponieważ unikał inwektyw i „umiał znaleźć słowa wzruszające, które sprawiły wrażenie". W części holenderskiej dziennik *Dagblad* pisze z wielką sympatyą o sprawie polskiej i z pochwałami o mowie dr. Lewakowskiego.

Ta ostatnia była zastosowana do charakteru zebrania publicznego, złożonego z żywiołów różnorodnych, przeważnie radykalnych i opozycyjnych.

„Występuję tu dzisiaj — powiedział Lewakowski, mimo że imię mej ojczyzny jest wymazane z karty Europy, że głos polski, którego niegdyś tak uważnie słuchano w Rzymie, w Paryżu, w Londynie, głos, który dyktował prawa wschodowi, tłumiony jest dziś wszędzie wszystkimi możliwymi sposobami. Nazwano niedawno Polskę „widmem", ukazującem się wśród obrad Konferencyi. Tak, ale widmo to ma 20-to-milionowe ciało pełne życia, ciało gotowe bronić cywilizacyi, wolności i niepodległości narodu, ciało zdolne jeszcze zaciężyć skutecznie i wpłynąć na losy państw i narodów.

„Mam ja jeszcze i inny tytuł do zabrania tu głosu. Od wielu lat mam zaszczyt należeć do szeregu tych, którzy podali sobie ręce, aby wspólnie walczyć przeciw militaryzmowi i głosić pokój między ludźmi. Zrazu usiłowano nas ośmieszyć, nazywano niepoprawnymi marzycielami. A jednak staliśmy się wielką armią, groźną dla swych

przeciwników, groźną do tego stopnia, że jeden z najpotężniejszych władzców świata uczuł się zniewolonym do pochwycenia tej sprawy w swe ręce. Był to może tylko zręczny, a nie pierwszy już raz przez dyplomacyę rosyjską praktykowany sposób przywłaszczenia sobie zaszczytnej roli, jak np. po ostatniem naszem powstaniu, kiedy Aleksander II ogłosił uwłaszczenie włościan w Polsce, sobie przypisując zasługę reformy, którą już przedtem zadekretował i w części przeprowadził Rząd Narodowy powstańczy. Wolimy jednak w inicyatywie monarchy rosyjskiego w sprawie pokoju powszechnego widzieć dobrą wiarę i szlachetne intencye i wierzyć, że sprawa rozbrojenia nie dla tego została oddana pod obrady Konferencyi, żeby tam być pogrzebaną uroczyście.“

Wykazawszy ironicznie obłudę dyplomacyi i bezużyteczność jej obrad, Lewakowski zaznaczył, że tylko pozostawienie ludom swobody rozwoju może doprowadzić do zbratania narodów i pokoju powszechnego.

„Otóż w imię tych kardynalnych zasad ludzkości przemawiam dziś do Was, panowie. Nie myślę b.najmniej opisywać Wam strasznej martyrologii, jaką Polska przeszła od wieku, a której pamięć we własnych zachowujemy sercach. nie przychodzę również prosić Was o pomoc w codziennej walce mego Narodu o wolność i niepodległość, jestem bowiem pewien, że kiedyś odniesiemy zwycięztwo dzięki własnym siłom naszym. Zabrałem głos dla tego, aby i naszą zaznaczyć obecność w miejscu, gdzie rozbierane są ważne zadania międzynarodowe, aby pokazać, że ma prawo podnieść tu głos i Polska, która, choć skrępowana i o ziemię powalona przez zaborcze państwa, nie tylko żyje, ale i domaga się należnego jej miejsca w rzędzie narodów.

„Przedstawiając *Memoryał* nasz członkom Konferencyi, nie spodziewaliśmy się wywołać jakiejkolwiek akcyi na naszą korzyść; uczyniliśmy to dla tego, aby ludy wiedziały, co się dzieje w naszej ojczyźnie na schyłku XIX stulecia; aby zadać kłam fałszywym i przewrotnym twierdzeniom interesowanych dyplomatów i otworzyć oczy Europie na niebezpieczeństwo, jakiem jej zagraża otwarta w jej łonie rana, która tem jest niebezpieczniejszą, że przez wyrafinowane okrucieństwo ciągle i coraz więcej jest rozkrwawianą.

„Zwracam uwagę, panowie, na ów *Memoryał*, który posiadają tu wszyscy dyplomaci i wszyscy dziennikarze. Czytajcie go, a znajdziecie w nim szczegółowy opis tego, co się po dziś dzień dzieje na naszych ziemiach, w zaborach rosyjskim i pruskim. Przerazi Was ten opis spokojem swoich słów wobec bijącej w oczy rzeczywistości strasznych cierpień narodu, którego jedyną winą jest to, że pragnie

zostać samym sobą. Przekonacie się z tego wiernego przedstawienia sprawy że wyraźnym celem Prus i Rosyi jest zniszczenie naszej cywilizacyi i wytępienie narodowości naszej. Zrozumiecie wtedy, że naród ze świetną przeszłością historyczną, naród, który mimo tak wielkiego ucisku rośnie i rozwija się moralnie i materyalnie, nigdy na podobny los się nie zgodzi. Brutalną tylko siłą udaje się powstrzymywać nasz opór i dla tego rozbrojenie i pokój są niemożliwemi.

„Zapewniam Was że w *Memoryale* naszym ani jedno słowo nie jest w sprzeczności z prawdą; przeciwnie, raczej pominiętych w nim jest wiele szczegółów, dotyczących nieustannej tortury narodu, czującego się równym, a nawet wyższym cywilizacyą od swych ciemięzców. Żaden z przedstawicieli tych wielkich mocarstw, które się nad Polską znęcają, nie mógłby Wam dowieść, że którykolwiek z mnóstwa faktów w *Memoryale* przytoczonych jest fałszywy lub choćby tylko przesadzony. Na usprawiedliwienie podobnego barbarzyństwa nie mogliby oni znaleźć innego argumentu, jak racya stanu.

„Mocarstwa zatrzymują w swojem posiadaniu prowincye, ba, nawet całe państwa, wbrew jawnie wypowiedzianej woli ich mieszkańców i obalają tem samem zasadę najwyższej sprawiedliwości, nadającą wyłącznie ludom prawo wolnego stanowienia o swoich losach narodowych. I ażeby dojść do tego celu używają środków najniegodziwszych. Tu, panowie, trzeba szukać głównej przyczyny, dla której pokój i rozbrojenie są niemożliwemi.

„O ludzkości, która niesiesz pochodnię światła bożego, miłości, sprawiedliwości i przebaczenia, miałożby to być ostatniem twojem słowem na schyłku tego stulecia"?

Zwrotem do przedstawicieli narodów, ujarzmionych a dobijających się wolności i niepodległości, zakończył Lewakowski przemówienie, które wywołało burzę oklasków.

Po tem zebraniu władze holenderskie, naciskane już teraz nietylko przez przedstawiciela Rosyi, ale i przez przedstawiciela Niemiec, który się obraził głównie z powodu ironicznej uwagi o podróży Wilhelma II do Konstatynopola i Palestyny, zaczęły znowu skłaniać Lewakowskiego do opuszczenia Hagi, obawiały się jednak ze względu na odpowiedzialność przed parlamentem zmusić delegata Związku Wychodztwa do wyjechania z granic Holandyi. Zresztą sam Lewakowski, spełniwszy swoje zadanie, wkrótce po zebraniu z Hagi wyjechał.

Z rozmów z dyplomatami i wybitnymi dziynnikarzami Lewakowski przekonał się, że wszyscy oni *Memoryał* warszawski znali i sumiennie czytali. Ale wystąpienie publiczne delegata Związku

Wychodztwa dało dokumentowi temu rozgłos w szerszych kołach. Zadawać teraz wypada, że drukowano tekst francuski w ograniczonej liczbie egzemplarzy i że hojnie rozesłano go dziennikom niemieckim, które o nim zamilczały.

Dzienniki nasze, te przynajmniej, które tu dochodzą, dosyć dużo miejsca poświęcają obecnie osobie „radcy stanu Blocha", quasi-bohatera konferencyi pokojowej w Hadze. Nie zwracalibyśmy na to uwagi, bo osoba „radcy-stanu Blicha" nie wiele nas obchodzi, ale jest w tem trochę pracy nad zniepráwieniem opinii publicznej i to nie pozwala faktu zamilczeć. Pan Bloch, (de Bloch lub von Bloch, jak się pisze zagranicą) jest, jak niektórzy twierdzą, Polakiem, on zaś sam, będąc istotnie Żydem czysto-polskim, odpowiednio do potrzeby występuje bądź jako Polak, bądź jako Rosyanin. Należąc do tych ludzi wyższego gatunku, którym posiadanie dużych pieniędzy nie wystarcza, a którzy potrzebują prócz nich sławy, postanowił on skorzystać z konferencyi pokojowej i zostać znakomitością europejską. Odłożył więc sobie na ten interes paręset tysięcy rubli i zaczął płacić dziennikarzy całej Europy, robiąc reklamę sobie i dziełu „o przyszłej wojnie", pod jego kierunkiem opracowanemu. Dzięki tym ekspensom Europa dowiedziała się najpierw, że „humanitaryzm" Mikołaja II został ruszony przez dzieło p. Blocha, że p. Bloch jest osobistym przyjacielem cara (NB. można to głosić zupełnie bezpiecznie, bo cesarze nie mają zwyczaju rozsyłać po redakcyach listów z zaprzeczeniami), następnie, że konferencye p. Blocha w Hadze ogromny miały wpływ np dyplomatów, że prelegent im zaimponował i t. d. Ukazały się nawet w ilustracyach portrety p. Blocha z podpisem „istotny twórca konferencyi pokojowej". Nikt u nas nie zwraca uwagi na to, że właściwie p. Bloch występuje w tym wypadku jako agent rządu rosyjskiego, pracujący nad nadaniem humanitarnego charakteru „szwindlowi" dyplomacyi rosyjskiej, nie mówiąc już o tem, że niema nikogo, coby przedstawił całą słabiznę sztucznie reklamowanych jego teoryi. Nie czyni tego prasa zagraniczna, bo tam o p. Blochu piszą tylko ci, co są przez niego zapłaceni. Zuchwalstwo wszakże, z jakiem p. Bloch głupstwa swoje wygłasza, naraziło go świeżo na przykrą odprawę. Wręczył on korespondentowi *Times'a* notatkę z poglądem na politykę kolonialną w związku z wydatkami na marynarkę. Niesłychane absurdy, jakie tam wygłosił, dowodząc z wielką łatwością, że polityka kolonialna nic nie jest warta, (naturalnie rosyjskiej polityki kolonialnej nie krytykował), i że nie opłaca nawet kosztów floty (jakby flota tylko dla kolonii istniała), wyprowadziły z cierpliwości nawet poważny dziennik angielski, który

w wybornym artykule wyśmiał „znakomitego ekonomistę“, dając mu na końcu gorzką radę: „byłoby dobrze, gdyby przed dalszem mieszaniem się do kwestyi ekonomicznych, zadał sobie trud opanowania początków teoryi i praktyki produkcyi i wymiany“.. Kto zna poważny, liczący się z wyrażeniami sposób przemawiania w *Times'ie* ten wie, że słów powyższych nie podyktowało uznanie dla wiedzy i głębokości p. „de Blocha“.

Mniejsza o to wszakże: nam idzie nietyle o mądrość p. Blocha, ile o jego zachowanie się polityczne, którego reklamowanie w polskich pismach jest ze stanowiska narodowego co najmniej nieprzyzwoitością. Pismom, które to robią, dostawszy od p. Blocha wynagrodzenie, winszujemy łatwego zarobku; tych wszakże, które nic nie dostały, postępowanie jest niewytłómaczone — o ile, naturalnie, nie przedstawią mu potem rachunku.

Liber.

SPRAWOZDANIA.

X. Y. Z. *Kilka słów, oświetlających przyczynę klęski 1863 r.* Kraków, 1899.

Dopiero w drugiej połowie tej broszury, zawierającej 36 stronic dużego formatu, autor mówi o faktach, oświetlających przyczynę klęski 1863 roku, t. j. o tajnem przymierzu rosyjsko-amerykańskiem, które sparaliżowało akcyę dyplomatyczną mocarstw zachodnich na rzecz Polski. Broszura podaje ciekawe szczegóły ale niestety, wiarogodność nieznanych uprzednio faktów osłabia nie powiem lekkomyślność ale łatwowierność autora, albo dokładniej jeszcze — pochopność do posługiwania się faktami niesprawdzonymi. Tak n. p. bez żadnego dowodu a wbrew oczywistości twierdzi, że śmierć Aleksandra II »nastąpiła jedynie i wyłącznie, z winy i za zgodą jego syna, owego ponurego Aleksandra III nihiliści zaś byli w tym razie tylko biernem nierozumem narzędziem i płaszczykiem w ręku machiawelskiej reakcyi, popów i tajnej policyi«. Doskonale poinformowany autor wie nawet, że »widziadła i halucynacye dopełnionej zbrodni, któremi nieustannie był trapiony, wpędziły też wnet do grobu występnego ojcobójcę«.

Autor jest pochopny nietylko do posługiwania się faktami fantastycznymi, ale i do wygłaszania w postaci proroctw zasadniczych rozwiązań, kwestyi politycznych. »Wstanie Polska obszerna i potężna, w całej pełni sił i młodości z Hohenzollernem na tronie« — zapewnia nas bezimienny autor. Z przyjemnością przyjmujemy tę przepowiednię, nawet pod warunkiem posadzenia na tronie jakiego Hohenzollerna, ale chcielibyśmy dokładniej dowiedzieć się: *cur*, *quo modo*, *quibus auxiliis* — i jaka jest obecnie właśnie podstawa do przewidywania podobnego faktu. Autor wierzy teraz w to, o czem dziesięć lat temu można było z pewnem uzasadnieniem mówić, a co dziś jest po prostu »wspomnieniemułudnem« — mianowicie w zasadniczy antagonizm interesów Rosyi z jednej strony, a Austryi i Niemiec z drugiej. Wierzy dalej

w inne jeszcze fantastyczne urojenia i w blizkość »konfliktu europejskiego«, »co nie podlega żadnej wątpliwości«.... bo »Francuzi budzą się i denerwują, nie będąc w stanie przetrawić hegemonii Germanów do tego stopnia, że wydaje się im milszym knut moskiewski niż pikelhauba pruska«... Gdyby autor opóźnił trochę wydanie broszury, chybaby już tego ostatniego zdania nie powiedział teraz, kiedy cała niemal prasa francuska spokojnie mówi o zbliżeniu się do Niemiec.

Wogóle cała broszura jest dziwną mieszaniną poglądów często trafnych, nieraz nawet głębokich i śmiałych, ale w tym ostatnim wypadku zwykle bez uzasadnienia wygłaszanych, oraz fantastycznych, naiwnych, niekiedy nawet — *passons le mot* — niedorzecznych przypuszczeń, zapewnień i przepowiedn. Wszystko to splata się w jedną całość pogmatwaną, pełną sprzeczności, ale jest bądź co bądź ciekawem i godnem przeczytania.

ip.

Stanisław Schnür-Pepłowski. *Opowiadania historyczne.* Lwów 1899.

Kiedy gdzieindziej, we Francyi, w Niemczech, nawet w Rosyi historycy zajmują się przeważnie dziejami najnowszymi, u nas epoka porozbiorowa jest przedmiotem badań kilku zaledwie poważnych pracowników. Dosyć powiedzieć, że nie mamy odpowiadającej wymaganiom dzisiejszym historyi Księztwa Warszawskiego, ani Królestwa kongresowego. W ostatnich dopiero czasach zjawiło się kilka cennych monografii Rembowskiego, S. Askenazego, Smoleńskiego.

Prace p. Schnür-Pepłowskiego, poświęcone dziejom porozbiorowym, mają zazwyczaj charakter kompilacyjny, ale są to kompilacye poważne, chociaż nie zawsze dosyć krytyczne. W każdym razie autor zasłużył się dobrze spopularyzowaniem ciekawych i ważnych a mało znanych najnowszych dziejów naszych, zwłaszcza epoki legionów.

Książka, której tytuł wypisaliśmy w nagłówku, poświęcona jest również tym czasom i składa się z 4 opowiadań: Pierwszy legionista (Amilkar Kosiński), Niezłomny (Kniaziewicz), Rycerz-poeta (Godebski) i Santo-Domingo (ciekawe szczegóły o Jabłonowskim i wogóle o pobycie Polaków na tej wyspie).

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

= Piszą do nas z Łodzi:

Szkół początkowych posiada Łódź wogóle 14, do których uczęszcza od 4 do 5000 uczniów, czyli niewiele więcej po nad 1% całej ludności, gdy we Lwowie n. p. dziatwa szkolna stanowi 10% ogółu mieszkańców. Szkoły te mieszczą się w lokalach wynajętych, nie na ten cel zbudowanych i wymaganiom hygienicznym zgoła nieodpowiadających. Pomijając program ogólny nauk oraz jego wykonanie, niesłychanie marne, nie lepsze zresztą ani gorsze, aniżeli w innych miastach kraju, wspomnę tylko o kilka szczególnie wonnych kwiatkach naszej niwy szkolnej.

Za godzinę lekcyi, udzielaną raz w tydzień kilku lub co najwyżej kilkunastu uczniom prawosławnym, pop otrzymuje wynagrodzenie w stosunku 100 rb. rocznie, natomiast ksiądz i pastor po 25 rb., chociaż mają dziesięć

kroć większą ilość uczniów. Nauczycielem gimnastyki we wszystkich szkołach ludowych łódzkich jest podoficer, bez żadnych kwalifikacyj fachowych, który za lekcyę pobiera po 50 kop., rocznie zaś wszystkiego 15 rb. (piętnaście), jak to stwierdzają rachunki za rok 1897/8. Cyfra tak nizka tłómaczy się tem, ze na każdą szkołę wypada *w ciągu całego roku* od jednej do trzech godzin gimnastyki. Cóż się atoli dzieje z 800 rb., które miasto na ów cel przeznacza? A no, 400 rublami naczelnik dyrekcyi Abramowicz zaledwie opędzić może wydatki biurowe, wywołane przez ćwiczenia na trapezie, a pomocnik jego otrzymuje takąż sumę za specyalny dozór nad temi ćwiczeniami. Dla biednego podoficera pozostaje wszystkiego kilkanaście rubli, chociaż jego tylko właściwie dotyczy i ów ścisły dozór i owa ożywiona korespondencya.

Szkoły dla dziewcząt mają kilkusetrublowe etaty dla nauczycielek robót ręcznych. W Galicyi, o ile wiem, przedmiot ten jest wykładany przez siły, wykształcone na specyalnych kursach w Wiedniu. U nas w Łodzi zajmują etatowe posady żony rozmaitych »czynowników«, mające o robotach ręcznych takie mniej więcej pojęcie, jakie mają babcie, cerujące pończoszki dla swych wnucząt. To też uczennice nie wiele na tem tracą, że znaczna część tych pań, pobierając po kilkaset rubli rocznie, nic o lekcyach wiedzieć nie chce. Rzecz prosta, na tak wygodne urzędy tak ogromny popyt, że aż trzeba było stworzyć dla pani naczelnikowej straży ziemskiej nową posadę nauczycielki cerowania i haftu — w szkole męzkiej! Gdy Apuchtin wrócił na łono »matuszki« Rosyi, postarano się podać do wiadomości Ligina najbardziej krzyczące nadużycia i złodziejstwa. Żadne z nadużyć nie zostało wszakże usunięte, zdemaskowany przed swą władzą złodziej Abramowicz pozostał na stanowisku, a p. naczelnikowa po staremu, nie ruszając się z domu, uczy chłopców, z milczącą aprobatą Ligina — robótek kobiecych...

Wyższa szkoła rzemieślnicza, istniejąca od lat 30-tu w Łodzi, jest własnością państwową. Ponieważ stary budynek stał się już istotnie nieodpowiednim, rząd sprzedaje go miastu, które go ongi wzniosło, za 30.000 rb., wkłada na nie obowiązek zburżyć go za zaraz po kupnie i każe mu w końcu własnym kosztem postawić gmach nowy, który również przejdzie na własność państwa.

═ W dziennikach galicyjskich znajdujemy krótką wzmiankę, że wskutek starań Imeretyńskiego skasowano istniejącą dotychczas w Petersburgu cenzurę polskich książek, wychodzących za granicą. Odtąd wszyskie wydawnictwa polskie będą podlegały wyłącznie cenzurze warszawskiej. Pisma zakordonowe, szerzące bałamutne wiadomości o stosunkach zaboru rosyjskiego, przedstawią może to rozporządzenie jako nową ulgę. Tymczasem jest to cios i bardzo dotkliwy dla piśmiennictwa polskiego. Cenzura w Petersburgu była dużo liberalniejszą, niż warszawska, ponieważ nie zwracała uwagi na względy polityki miejscowej. Zresztą w Petersburgu łatwiej można się było odwołać do wyższej władzy, a cenzorami książek zagranicznych byli zazwyczaj ludzie obojętni, krewni lub protegowani wysokich dygnitarzy, uważający swoje zajęcie za synekurę. To też nieraz książki, które cenzura warszawska odrzucała, wydane następnie zagranicą przechodziły przez Petersburg. Zdarzało się nawet, że w księgarniach warszawskich nie wolno było sprzedawać książek, które cenzura petersburska przepuściła (np. *Śpiewy historyczne*

Niemcewicza). Już Hurko domagał się usilnie, ale bez skutku, zniesienia cenzury książek polskich w Petersburgu. Imeretyński jest szczęśliwszy, albo raczej ma mocniejsze wpływy.

Nie wiadomo czy uzyskał, o co starał się również Hurko, żeby *Kraj* był cenzurowany w Warszawie. Byłoby to ciosem śmiertelnym dla organu p. Piltza i zaiste zasłużoną nagrodą za szerzenie prostytucyi politycznej.

= Dzienniki ugodowe *Słowo* i *Kuryer Polski* ogłosiły za *Krajem* sfałszowane tendencyjnie streszczenie listu T. T. Jeża, nadesłanego do redakcyi *Kraju* z powodu zaproszenia na obchód puszkinowski w Petersburgu. Oto co przypisano Jeżowi:

„Nestor powieściopisarzy polskich, T. T. Jeż, nadesłał na ręce redaktora *Kraju*, p. E. Piltza, list, w którym autor »Uskoków« pisze, że »ceniąc wysoko Puszkina, jako poetę, chętnie byłby wziął udział w drodze telegraficznej w obchodzie na jego cześć«, ale zaszły okoliczności, które mu w urzeczywistnieniu tego projektu przeszkodziły«.

Otrzymana przez nas wierzytelna kopia listu Jeża brzmi jak następuje:

»Dziękuję Sz. Redakcyi *Kraju* za niezapomnienie o osobie mojej — za łaskawe zaproszenie mnie na wieczór literacki, poświęcony Puszkinowi. Puszkina wysoko jako poetę cenię, w obchodzie tym chętnie bym udział na drodze telegraficznej był wziął, gdyby nie demonstracya, urządzona w pół roku po pamiętnej inauguracyi pomnika Mickiewicza przez władzę rosyjską w Warszawie. Wobec takiej wstrętnej, prowokacyjnej, ubliżającej nam demonstracyi muszę jako Polak powstrzymać się od złożenia hołdu pamięci wielkiego rosyjskiego poety i patryoty. Patryotyzm Puszkiński nie godzi się z Mickiewiczowskim — ja przy tym ostatnim stoję«.

Pan Piltz dawniej — jak wiadomo — fałszował frachty kolejowe; teraz w podobny sposób operuje z politycznymi dokumentami.

= Pisaliśmy już poprzednio o haniebnym postępku profesora uniwersytetu warszawskiego, Zieńca, który usiłował zgwałcić znajdującą się w klinice kobietę i o proteście studentów z tego powodu. Obecnie korespondent *Nowej Reformy* podaje szczegóły tej sprawy. „Fale wypadku obiły się o władzę u nas najwyższą. Z urzędu Troickij, inspektor szpitali w Warszawie, i Pahlen, kurator szpitala Dzieciątka Jezus, wytoczyli śledzwo, po którem zakonnicę, świadczącą przeciw łotrowi, przeniesiono do innego oddziału, a posługaczkę na inną salę. Odzyskawszy swobodę ruchów, Zieniec nakazał chorą wypisać i bezwłocznie ze szpitala wydalić. Kiedy rozkaz spełniono, był już mrok głęboki. Chora, jeszcze nie zupełnie wyleczona, doznawszy przytem moralnego wstrząśnienia, gdy znalazła się w zupełnem opuszczeniu na bruku, opadła z sił i zemdlała. Dano znać do pogotowia ratunkowego. Dzięki dopiero lekarzom tej instytucyi sprawa dostała się do sądu. Krzyk o sprawiedliwość był już zbyt silny: Zieńcowi dano urlop zagranicę, a sędziemu śledczemu pozwolono dochodzić gwałtu. „Przed dziesięciu dniami odebrano sprawę z rąk sędziego śledczego, który jest Polakiem, i oddano sędziemu do spraw szczególnie ważnych, który jest Rosyaninem. Obawiać się potrzeba, aby ta sprawa, w samej rzeczy szczczególnie ważna, jako kryminalna, w rękach szczególnie powołanych nie zmieniła się na szczególnie nic nieznaczącą. Z niedobrowolnym urlopem Zieńca zeszło się dobrowolne ustąpienie jego

asystentów klinicznych: nie chcieli pod takim przewodnikiem funkcyonować". Zienieć, żyd rosyjski, który przyjął prawosławie, był ulubieńcem Apuchtina.

= O katalogu dla rządowych czytelni ludowych w Królestwie podaje szczegóły korespondent *Nowej Reformy*: W samym początku, było to jeszcze w roku 1897, do zaprojektowania katalogu zaprosił Imerytyński Polaków-specyalistów: pp: Brzezińskiego, Kryńskiego, Niedźwieckiego. Ułożony przez tych ludzi katalog, z 400 prawie pozycyj, wrzucił do kosza. Do steru czytelni powołał p. Łoginowskiegō, obecnego redaktora rosyjskiej *Biesiedy*, a przyszłego polskiej *Jutrzenki*. Nadto uznał za dobrą listę książek polskich i rosyjskich o trzystu kilkadziesięciu pozycyach, między którémi było wiele polskich, zaleconych jako wyborowe, Wreszcie książę Imeretyński do urządzanych na próbę 20 czytelni oznaczył stały stosunek książek polskich do rosyjskich, jak 3 do 2. Po tem wszystkiem zjawił się nareszcie katalog normalny, a raczej trzy katalogi w jednym, — i wszystkiemu, co obiecywano, co niby już robiono, kłam zadał. Jeżeli z całości układu wyłączymy dział religijny, na który targnąć się nie śmiano, z ogółu 258 książek w pozostałych działach: popularno-naukowym, praktycznym i beletrystycznym, okaże sie książek rosyjskich 121, polskich 137. W najpoczytniejszym dziale beletrystycznym liczby prawie się równoważą: 75 i 81. Stosunkowo najwięcej książek polskich jest w dziele praktycznym, gdzie już jaki taki wzgląd na użyteczność nakazał cofnięcie językowi rosyjskiemu przywileju przemocy (19 rosyjskich, 41 polskich).

Wręcz już gnębiący stosunek panuje w dziale popularno-naukowym: 27 dzieł rosyjskich na 15 polskich. Po odtrąceniu przewodników praktycznych, nie podpadających pod właściwą kategoryę szerzenia oświaty, na oświecanie i zabawianie umysłów pozostanie po stronie polskiej książek 96, po rosyjskiej 102; wbrew zapowiedziom literatura rosyjska ma przewagę ilościową, jakościowa jest jeszcza większą.

W dziele beletrystyki polskiej, z wyjątkiem trzech książek: o Baudouinie, o Kolumbie i o Brodzińskim, znajdujemy same bawidełka o Kubusiach, Wojtusiach i Maciusiach. Beletrystykę rosyjską wzbogacają takie niebeletrystyczne, zaiste, utwory, jak: O Sewastopolcach i Obrona Sewastopola; jak Piotr Wielki oraz Piotr Wielki i Szwedzi, jak Plewna, Wojna na Kaukazie, Ocalenie w Borkach, Kulikowe Pole, Wzięcie Nikopolis, Zwycięztwo pod Czesme, a nadewszystko *Car Mirotworec* i Podróż dzisiejszego cara na Wschód — uczące dreszczu bojaźni bożej przed monarchą. *Djeduszka Kryłow*, *Riadowoj* (Szeregowiec) *Sawatiew* wprowadzają chłopa polskiego w pełne życie rosyjskie. Tytuły powyższe pokazują, że pojedyńczemi monografiami kuratorya trzeźwości chcą ludowi polskiemu wyłożyć całą historyę rosyjską, gdy o dziejach Polski grobowa cisza: *Nikakich wospominanij!* – Polski nie było, być nie powinno. A gdy się zważy, jakie to ręce rozdawać będą te rosyjskie specyały, jakie oko pilnować ma rozdawnictwa, w jaką zachętę i uwagę rozdający książki każdy akt spełniony przez siebie zaopatrzy, — potrzebaby już zadać gwałt rozsądkowi lub sumieniu, żeby nie dostrzedz, od razu szkodliwej, zgubnej rusyfikatorskiej dążności w tem rzekomem podnoszeniu moralnego i umysłowego poziomu".

= Dygnitarze rosyjscy lubią prędko jeździć, a policmajster warszawski Lichaczow nie jest w tym względzie wyjątkiem, chociaż na dorożkarzy na-

kłada kary za kawalerską jazdę. Niedawno w biały dzień policmajster stratował siedemdziesięcioletniego posłańca Łozińskiego, który oprócz rany na głowie, miał obojczyk złamany i kręgosłup nadwyrężony. Po wysłuchaniu opinii lekarza, że przejechanemu nie grozi śmierć natychmiastowa, chociaż za najbliższą przyszłość ręczyć niepodobna, rewirowy, obecny przy oględzinach Łozińskiego, zawołał wesoło: »a więc mogę p. policmajstrowi donieść, że stan chorego jest normalny.«

== Politycy w cukierniach warszawskich zajmują się następującym faktem. Ordynat Zamojski wyprawiał ucztę, na której był obecny książę Imeretyński. Pomiędzy zaproszonymi było kilku redaktorów, brakowało jednak p. Piltza, chociaż ten umyślnie do Warszawy przyjechał. Powiadają, że Imeretyński nie życzył sobie spotkać się z p. Piltzem i nazwisko jego z przedłożonej mu listy biesiadników wykreślił.

== Otrzymaliśmy list, podpisany przez kilku robotników Górno-Ślązaków, wydalonych z Dąbrowy i przebywających obecnie w Świętochlowicach. Wydaleni od r. 1883 pracowali w Hucie Katarzynie pod Sosnowcem, sprawowali się uczciwie i spokojnie, nigdy nie byli karani. »Czując jednak — jak piszą — że człowiekowi sił ubywa, pracując tak ciężko, bo przy wielkim ogniu«, chcieli coś sobie zapewnić na stare lata i udali się z prośbą do dyrekcyi »ażeby raczyła usadzić knapszaft czyli jakąś kasę, którąby mogła takich starych robotników, niezdolnych już do pracy, utrzymywać“. Otrzymali odpowiedź, że „to wszystko wkrótce się znajdzie,“ ale po upływie roku, nie widząc skutku swej prośby, poszli znów z zapytaniem do dyrektora, p. Skawińskiego. Dyrektor odpowiedział, że rząd nie życzy sobie takich kas, wówczas robotnicy zapytali, czy dyrekcya nie będzie miała nic przeciw temu, jeżeli podadzą prośbę do cara. Otrzymawszy, jak zapewniają, pozwolenie dyrektora, podali prośbę i dostali od naczelnika poczty w Petersburgu (?) zawiadomienie, że prośbę przyjęto. Niedługo czekali na odpowiedź: pewnego dnia zjawił się sołtys ze stróżami do fabryki i powiedział podpisanym na prośbie, że naczelnik powiatu będzińskiego chce ich widzieć, ale gdy z fabryki wyszli, powiedziano im, że są aresztowani, a gdy spytali za co? otrzymali odpowiedź — za złe sprawowanie się w fabryce.

Pokrzywdzeni robotnicy przypisują aresztowanie swoje wpływom dyrektora. »Rzeczą jest prawdziwą, że w Królestwie Polskiem za pieniądze wszystko zrobić można... Kiedyśmy zostali aresztowani, a żony nasze poszły do tego pana dyrektora, żeby się raczył zająć nami i prosił, żeby nas wypuszczono, to on powiedział im tak: niepowinni byli próśb pisać i opisywać, czego wcale nie było, dalej upominał, żebyśmy żadnych próśb nie pisali, bo dla nas robotników bardzo trudno ich zwyciężyć, my robotnicy płacimy kopiejkami, a oni będą płacić rublami“... Z tych słów robotnicy wnioskują, że dyrektor przyczynił się do ich aresztowania.

Aresztowanych „wpakowali do kozy pomiędzy takich zbrodniarzy i bluźnierców, że aż włosy na głowie stawały, gdy ci zaczęli bluźnić: z drugiej strony robactwo człowieka tak oblazło, żeśmy miejsca spokojnego nie mieli“. W tem więzieniu przebyli cztery dni, następnie odwieziono ich do granicy i bez oznajmienia powodów wydalono z Królestwa.“ Bardzo dużo sprawili nam szkody i kłopotu — piszą owi biedacy — a więcej jeszcze smutku, że za prawość zastaliśmy tak znieważeni, i nawet nas buntownikami nazwali,

ale to jest bardzo dobre do poznania, bo przez całe nasze lata, gdyśmy tam pracowali, Huta Katarzyna nigdy nie strejkowała«.

Wydaleni stracili wkładki do kasy wsparcia, po 75 kopiejek miesięcznie. „Czyż można, pytają, miesięcznie odciągać, a nas pierwszych robotników, którzy swoje zdrowie i siły tam pozostawiliśmy, bez wynagrodzenia wypędzać? Jednem słowem p. p. urzędnicy z Królestwa Polskiego bardzo sromotnie obchodzą się z Górno - Ślązakami, którzy już im ludzi nieco w robocie wykształcili." P. Skawiński miał mówić robotnikom miejscowym, żeby byli spokojni, bo gdy wszystkich Niemców (?) wypędzi, to im będzie lepiej. Wszyscy wydaleni są ludzie nie młodzi i z trudnością mogą na Ślązku znaleźć robotę, bo tam tylko do 40 roku życia nowych robotników w górnictwie przyjmują.

Może który z naszych czytelników, obeznanych z przepisami i ustawami górniczemi oraz stosunkami w zagłębiu dobrowskiem, zechce nas poinformować, czy ci biedacy mogą żądać przynajmniej zwrotu wkładek.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

= Sąd pruski wydał nakaz konfiskaty numeru *Nowej Reformy*, zawierającego rzekomo obrazę ministrów i rządu pruskiego. Wkrótce potem pismu krakowskiemu odjęto debit w państwie pruskiem na dwa lata.

= Trzech redaktorów pism polskich w Prusiech Zachodnich skazano na karę więzienia niemal jednocześnie. W wyroku, skazującym redaktora *Gazety gdańskiej* p. Palędzkiego powiedziano, że kara pieniężna nie wywarłaby żadnego wpływu, bo z doświadczenia wiadomo (?), że takową za skazanego płaci ktoś trzeci lub kasa agitacyjna (?) stronnictwa. P, Majerskiego, redaktora *Gazety grudziądzkiej*, skazano na 12 tygodni. Ciekawe są motywy wyroku: »Fakt, że artykuły mogą wywołać zamierzony skutek (zaniepokojenie ludności niemieckiej i narażenie jej na niebezpieczeństwo) dowodzi, że tenże skutek musiał w rzeczywistości nastąpić" !... Wreszcie p. J. Brejskiego redaktora *Gazety toruńskiej* skazano na 2 miesiące więzienia również bez możności zamienienia kary na grzywnę.

= Landrat pucki odmówił wędrownemu kramarzowi pozwolenia na sprzedaż książek polskich orzekając, że *liegt keine Bedürfniss vor* (nie ma wcale potrzeby). Zakaz landrata jest przeciwny prawu, ale władze pruskie w stosunku do Polaków coraz mniej z niem się liczą.

= *Dziennik poznański* donosi, że wielu urzędników pocztowych przeniesiono z prowincyi polskich do Niemiec. Jednocześnie coraz częściej można słyszeć skargi na niedoręczanie listów, adresowanych po polsku. Za ministra Stephana poczty pruskie nie zajmowały się polityką, dzisiejszy ich zwierzchnik p. Podbielski ulega widocznie widocznie wpływowi hakatystów, obawiając się, żeby mu nie wypomniano polskiego nazwiska.

= *Kuryer poznański* pisze, że w pewnej wsi, (nazwiska niewiadomo dlaczego nie wymienia) poskarżyły się dzieci polskie przed księdzem, że gdy zamierzały iść na naukę przygotowawczą do pierwszej komunii, nauczyciel zawołał: „lepiej idźcie do świńskiego chlewa, niż do kościoła«. Upomniane przez księdza, żeby mówiły prawdę, dzieci oświadczyły stanowczo, że nauczyciel powyższe zdanie wygłosił.

= Gazety hakatystowskie obawiają się, że papież może mianować arcybiskupa Stablewskiego kardynałem. Odwracając od siebie ten kielich goryczy, dowodzą, że pierwszeństwo do godności ma arcybiskup warszawski. Ale i Polacy, których blask purpury nie oślepia, obawiają się, że gdy ks. Stablewski zostanie kardynałem, będzie jeszcze lojalniejszy i pokorniejszy wobec rządu pruskiego, niż jest dzisiaj.

= Władze pruskie w ostatnich kilkunastu dniach, jak donoszą *Neueste Nachrichten*, zakazały około 40 polskim towarzystwom odbycia zabaw lub pochodów. Ostatniem razem w Gniewkowie tamtejszemu Towarzystwu przemysłowemu policya zakazała zabawy, co tem większe spowodowało rozgoryczenie pomiędzy spokojnymi obywatelami polskimi, że w tym samym dniu urządzili hakatyści, jakby na upokorzenie, huczną zabawę w lesie, której nadano charakter wprost demonstracyjny wygłaszaniem mów, pełnych nienawiści ku Polakom.

= Wiadomo, że komisye generalne robią Polakom obecnie rozmaite trudności przy nabywaniu włości rentowych, z tego może powodu zmniejsza się z każdym rokiem liczba nowych włości, bo ludność polska najchętniej się w ten sposób okupywała. Wogóle dotychczas powstało w Prusiech 7824 włości rentowych. Z ogólnej liczby nabywców było w r. 1898 Niemców 4976, Polaków 2470, właściwie 2757, licząc osobno w statystyce urzędowej pomieszczonych Mazurów. W r. 1898 Polaków okupiło się tylko 178, Niemców 400, w poprzednich latach stosunek był dla Polaków korzystniejszy.

W każdym razie dziś jeszcze udział Polaków w nabywaniu włości rentowych jest znacznie większy, niż stosunek procentowy ludności polskiej do ogółu ludności państwa pruskiego (11—12%).

= Pisma poznańskie piszą, że gdy pewien hamowniczy kolejowy, Polak zapisał swego syna na naukę języka polskiego i religii w tym języku, zarząd natychmiast dał mu dymisyę, bo »człowiek. zdradzający tego rodzaju dążenia antypaństwowe, nie może być cierpiany w służbie kolei pruskich.«

= W Poznańskiem w 16 gimnazyach klasycznych, 2 gimnazyach realnych i 2 progimnazyach było w r. 1899 6487 uczniów, czyli w stosunku do ludności około 50% więcej niż w Galicyi i blisko *3 razy* więcej niż w Królestwie. W ostatnim dziesięcioleciu było średnio 31% uczniów katolików, 51% ewangielików i blizko 18% żydów, chociaż katolicy stanowią $^2/_3$ ludności, a żydzi tylko 2.5%.

Z GALICYI.

= We Lwowie urządzono wiec t. zw. maturzystów, tj. uczniów, którzy w tym roku ukończyli szkoły średnie. Głównym celem wiecu miały być narady w sprawie wyboru przyszłego zawodu. Mówiono również o zadaniach młodzieży, o pracy nad odrodzeniem społeczeństwa, o wyrabianiu samodzielności i t. d. Wiec zawiódł pod tym względem, że »maturzystów«, dla których był przeznaczony, przyszło dziesięciu. Większość prasy potępiła wiec, zapewne dlatego, że oprócz akademików przemawiali na nim starsi socyaliści i propagowali swoje zasady. Ale któż przeszkadzał ludziom innych przekonań przyjść na wiec i głos zabierać. W przemówieniach kilku akademików

były myśli, przynajmniej dla Galicyi nowe, jak np. wymowny protest przeciw biurokracyi i zachęcanie do wyboru zawodów samodzielnych.

I nam udział w wiecu polityków i agitatorów socyalistycznych z zamiarem propagowania swoich zasad nie wydaje się właściwym i zgadzamy się zupełnie w danym wypadku z krakowskim *Naprzodem*, który w tej sprawie tak odzywa się do młodzieży: »Patrzcie, uczcie się, nauczcie się kochać klasę pracującą w mieście i na wsi, a nauka i życie wskażą wam, co macie robić w przyszłości«.

= We Lwowie założone w tych dniach »Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe«, jako stowarzyszenie udziałowe. Celem Towarzystwa, według ustawy, jest:

1. Nabywanie lub dzierżawienie ziemi w południowej Bryzylii, a głównie w stanie Parana (dokąd prąd emigracyjny zmierza najsilniej i gdzie też są względnie najkorzystniejsze warunki osadnictwa), parcelowanie jej i sprzedawanie lub wydzierżawianie kolonistom;

2) Dostarczanie osadnikom, osiedlonym na gruntach Towarzystwa, potrzebnych im produktów i pośredniczenie w sprzedaży płodów produkowanych w koloniach, oraz popieranie wywozu krajowego;

3) podejmowanie przedsiębiorstw, które mają na celu podniesienie wartości nabytych ziem i dobro Towarzystwa;

4) udzielanie zaliczek. pośredniczenie w przesyłkach pieniężnych i wogóle zastępowanie swych członków kolonistów w ich interesach finansowych i prawnych;

5) utrzymywanie dla wychodźców biura informacyjnego i spedycyjnego.

Na pierwszem walnem zebraniu członków założycieli nowego towarzystwa był obecny konsul austryacki w Kurytybie: p. Pohl, który w długiem przemówieniu wykazywał, że Brazylia południowa ma warunki przyrodzone bardzo korzystne dla osadnictwa polskiego. Dzisiaj wskutek powstrzymania kolonizacyi rządowej emigranci są narażeni na rozmaite przykrości i nieraz wyzyskiwani. Towarzystwo zapobiegnie temu i jeżeli będzie rozporządzało kapitałem 150.000 złr. może osadzić odrazu około 800 redzin i po 100 rocznie w ciągu czterech lat następnych. Sądzimy, że przynajmniej taki kapitał Towarzystwo kolonizacyjne zbierze, powinno jednak nie oglądać się na większe kapitały, ale wciągnąć w zakres swej działalności jak najwięcej ludzi, których drobne wkładki utworzą sumę, potrzebną do rozpoczęcia działalności.

= Robotnicy w Nowym Sączu, zebrali się gromadnie na stacyi kolei i, otoczywszy ks. Stojałowskiego, zażądali zwrotu 1500 zł. które mu dano, gdy był prześladowany. Ma się rozumieć, nie szczędzono ks. prałatowi przykrych zarzutów zdrady sprawy ludu i narodowej, wołano »wynoś się do Broka, do twoich przyjaciół Moskali«. Obawiając się, żeby go nie poturbowano, Stojałowski schronił się do mieszkania znajomego urzędnika kolejowego zkąd cichaczem przeszedł do wagonu, gdzie go jednak dostrzeżono i powtórnie obsypywano obelgami. Korespondent *N. Reformy*, który widział Stojałowskiego w Nowym Sączu, znalazł go zmienionym i zgorzkniałym, skarżącym się na niewdzięczność ludzką. *Głos narodu* podaje wiadomość że Stojałowski chce wstąpić do Kamedułów na Bielanach. Niedługo on tam chyba wytrzyma.

= W Galicyi pobiera obecnie naukę 77% dzieci w wieku szkolnym W r. 1875/6 zaledwie 28% dzieci uczęszczało do szkoły. Jest więc postęp, i to znaczny, pamiętać jednak trzeba, że stosunek dzieci uczęszczających do szkoły jest w Galicyi gorszy, niż w innych krajach, nawet niż w Dalmacyi. Tylko na Bukowinie mniej stosunkowo dzieci pobiera naukę szkolną, bo 76 %.

= Lwowska dyrekcya policyi zawiadomiła wydział Bratniej pomocy słuchaczów wszechnicy, że namiestnictwo odmówiło zezwolenia na zbieranie składak na rzecz relegowanych studentów Polaków z uniwersytetu warszawskiego.

Właściwie nie należało wcale pytać o pozwolenie, prośba w danym wypadku była objawem przesadnego legalizmu.

= Studenci Rusini niedawno zwołali do Lwowa wiec w sprawie założenia oddzielnego uniwersytetu ruskiego. *Diło* dowodzi, że uniwersytet ruski jest już dziś możliwym, że Rusini mają także same siły naukowe, jakie mieli Polacy, kiedy w uniwersytecie lwowskim wprowadzono wykłady w języku polskiem. To dowodzenie mija się z prawdą, Rusini bowiem w niektórych gałęziach wiedzy nie mają nawet zaczątków literatury specyalnej. Przeciw założeniu uniwersytetu ruskiego nie można mieć nic w zasadzie, ale obecnie odpowiedniejszem byłoby tworzenie stopniowe równoległych katedr ruskich, skoro znajdą się do nich odpowiedni kandydaci. Niektórzy szczerzy patryoci Rusini twierdzą, że nawet zakładanie oddzielnych gimnazyów ruskich obniża poziom umysłowy kształcącej się w nich młodzieży która, nie znając w dostatecznej mierze języka niemieckiego, a nie chcąc lub nawet nie mogąc czytać po polsku, nie może rozwijać się należycie, gdyż w ubogiem piśmiennictwie ruskiem nie znajduje odpowiedniego materyału. Uniwersytet ruski, którego profesorowie i słuchacze byliby niewątpliwie wrogo usposobieni względem wszystkiego, co polskie, ułatwiałby tylko propagandę piśmiennictwa rosyjskiego w Galicyi.

= W Galicyi dzieją się obecnie dziwne rzeczy, o których do niedawna nie śniło się filozofom miejscowym. Szlachta ziemi przemyskiej wybierała niedawno posła do Rady państwa z kuryi wielkiej własności. Wybory w tej kuryi odbywają się zazwyczaj zgodnie, kandydat upatrzony otrzymuje wszystkie głosy obecnych oprócz swego, a czasem i ze swoim. Teraz było dwóch kandydatów: p. Paszkudzki, uchodzący w opinii sąsiadów i starosty za liberała i p. Dąmbski, niewątpliwy konserwatysta. Wybrano p. Dąmbskiego. Ale stronnicy p. Paszkudzkiego, widocznie znieprawieni duchem czasu, duchem przewrotu i rozstroju, wnieśli protest, w którym dowodzą, że organy rządu w nielegalny sposób wpływały na wyborców. No, jeżeli nawet na P. T. wyborców pierwszej kuryi rząd może nacisk nielegalny wywierać, to co powiedzieć trzeba o legalności wyborów w innych kuryach!?

= Ks. Stojałowski wzywa w *Wieńcu* prokuratoryę, żeby wytoczyła proces o krzywoprzysięztwo pp. Daszyńskiemu, Stapińskiemu, Regerowi i Czakiemu. Wezwanie jest obliczone na naiwność czytelników, bo zbyt dobrze trzymamy o inteligencyi i doświadczeniu prawnem ks. Stojałowskiego, żebyśmy go mogli posądzić o traktowanie poważne zarzutów wprost niedo-

rzecznie uzasadnionych. Poseł Stapiński, zeznając pod przysięgą, powiedział, że ludowcy podczas wyborów nie bili przeciwników, ks. Stojałowski chce wykazać świadkami, że ktoś, należący do stronnictwa ludowego, obił przeciwnika politycznego i to ma być dowodem, że p. Stapiński jest krzywoprzysiężcą! Argumenty na poparcie innych zarzutów nie są lepsze.

= Wybory do Rady państwa w okręgu Sanok - Brzozów - Lisko miały przebieg nieoczekiwany, ponieważ dr. Karol Lewakowski niemal w ostatniej chwili stanowczo oświadczył, a raczej potwierdził poprzednie oświadczenie, że chociażby został wybranym, mandatu nie przyjmie. Stronnictwo ludowe postawiło wówczas kandydaturę p. Piecha, rękodzielnika z Sanoka, który otrzymał 91 głosów. Głosowanie ściślejsze odbyło się między hr. Janem Potockim z Rymanowa i moskalofilem ks. Kałużniackim, którego polecał wyborcom polskim Stojałowski. W drugiem głosowaniu ludowcy oświadczyli się za hr. Potockim, który otrzymał 350 głosów. Ks. Kałużniacki miał najprzód 224, następnie 240 głosów.

= Osławiony starosta podgórski, hr. Starzeński polecił zarządowi miejscowej kasy chorych, ażeby usunął z zarządu p. Matejkę, jako człowieka nieuczciwego, gdyż był sądownie karany. Znieważony tem orzeczeniem władz administracyjnych, ukarany był bowiem jedynie za manifestacyę polityczną w teatrze, p. Matejko odwołał się do sądu, oskarżając starostę i dwóch urzędników starostwa o obrazę honoru. Jednakże sędzia Kuliński wbrew ustawie orzekł, że sprawa należy do władz administracyjnych i nie poprzestając na tem orzeczeniu, dodał, że starostwo miało prawo wyrazić się obraźliwie o Matejce, gdyż »obojętnem jest za co ukaranie nastąpiło«. Słusznie z powodu tego wyroku pisze *Naprzód*, że orzeczenie sędziego Kulińskiego jest nową, dotkliwą obrazą, wyrządzoną p. Matejce.

»A więc minister Ziemiałkowski, prezydent Smolka, hr. Tarnowski i inni, którzy za zbrodnię zdrady stanu skazani byli na karę śmierci lub na karę więzienia, są również obywatelami »bez zaufania« i nie stoją na równi z niekaranymi a więc nieskazitelnymi? To już prawdziwe obłąkanie lub brak granicy w ustępstwach dla Starzeńskiego i spólników, skoro ustawę, zdrowy rozum, poczucie prawa, wszystko łamie się i gwałci bez skrupułu, gdy idzie o socyalistę!«

To też dla tego zapewne, że chodzi tu o socyalistę, prasa galicyjska nie zwróciła uwagi na sprawę, która gdzieindziej wywołałaby powszechne oburzenie, bo w obronie zasadniczych praw obywatelskich wszystkie stronnictwa występować powinny solidarnie, u nas zaś tymbardziej, gdyż t. zw. przestępstwo polityczne w Polsce jest często synonimem cnoty i zasługi obywatelskiej.

Z KRESÓW.

= W gimnazyum wyższem w Czerniowcach jest 75 Polaków, w niższem 37, czyli razem 10% ogólnej liczby uczniów. Oba gimnazya mają charakter czysto niemiecki, chociaż Niemcy (bez Żydów) stanowią tylko 16.5% uczniów. Rumuni, a nawet Rusini, których w giminazyum wyższem było więcej niż Polaków (72) mieli w 8 klasach 19 godzin tygodniowo na na naukę języka ruskiego. Tymczasem na język polski, który zaliczono do

przedmiotów nieobowiązkowych, było dla 8 klas tylko 3 godziny, czyli dla klasy 1|2 godziny tygodniowo.

Dzieci polskie tak są prześladowane przez pedagogów Niemców, że proszą rodziców o zaliczanie ich przy zapisie do narodowości niemieckiej. I słabsi rodzice popełniają tę nikczemność, ażeby ułatwić dziecku pobyt w szkole.

= Wycieczka akademików krakowskich do Cieszyna tak zaniepokoiła i oburzyła Niemców tamtejszych, że niepoprzestając na obrzuceniu błotem — ma się rozumieć w nocy — chorągwi polskiej, wywieszonej w oknie lokalu Czytelni ludowej — zaprotestowali w radzie miejskiej przeciw »zakłócającym spokój« demonstracyom, urządzanym przy współudziele »żywiołów obcokrajowych«.

= Przewodniczącemu rady szkolnej w Czechowicach na Śląsku austryackim zarzucono publicznie, że nie chciał podpisać nauczycielom kwitów na zależne im wynagrodzenie. P. Wyrobek wyjaśnił następnie, że „stało się to jednak nie gwoli „jakiegoś urojenia“ — ani dla „jakiejś“ przyczyny, ale tylko dlatego, że kwity napisane były w języku niemieckim, a ja żądałem, aby kwity napisane były w języku polskim, albo przynajmniej na formularzach polsko-niemieckich, przez Wydział krajowy wydanych“.

Głos ludu śląskiego wystąpił w obronie nauczycieli i rozstrzygnął sprawę w następujący sposób:

„Wszyscy pp. nauczyciele z Czechowic wystawili kwity tylko w języku polskim, na których dnia 1 kwietnia b. r. p. Wyrobek obok wyciśniętej pieczątki podpisał się jako przewodniczący rady szkolnej własnoręcznie. Ponieważ urząd podatkowy w Bielsku kwitów polskich nie przyjął — gdyż marszałek krajowy nakazał, że kwity dotyczące być muszą niemieckie — przeto nauczycielom nie pozostawało nic innego, jak tylko albo renumeracyi nie żądać, albo też wystawić kwity niemieckie. Oczywiście, że nauczyciele nie stoją na stanowisku, aby mogli pogardzać pieniędzmi i dlatego też wystawili po raz drugi kwity ale teraz już niemieckie, na których p. Wyrobek nie chciał się podpisać.

„A więc zapytajmy się — czy p. Wyrobek miał słuszność? On dobrze wiedział, że pp. nauczyciele dostatecznie(?) zaakcentowali polskość wystawiając polskie kwity — pomimo tego, że im nakazano wystawiać niemieckie — oni ponieśli nawet ofiarę dla sprawy polskiej gdyż na darmo wyrzucili pieniądze na stemple i na darmo iść musieli do Bielska. Jeżeli p. Wyrobek uważa się za dzielnego Polaka, to nie powinien był nauczyciolom robić trudności, skoro wiedział, że poczynili oni już możliwe kroki, ale obowiązkiem jego było opisać takie postępowanie ze strony hr. Larischa w gazetach — uderzyć na posłów, żeby „Jego Ekscelencyi“ w sejmie żołądek wyczyścili, a jeżeli jest „bardzo dzielnym Polakiem“, to mógł nawet złożyć swój mandat jako przełożony rady szkolnej i w ten sposób demonstrować przeciw poniżeniu polskiego języka ze strony wyższych władz szkolnych.“

Całe to rozumowanie z politycznego punktu widzenia nie wytrzymuje krytyki. Postępowanie p. Wyrobka było zupełnie prawidłowem i w danym wypadku w taki właśnie sposób, jakiego on użył, bronić należało praw języka polskiego. Gdyby bodaj kilku przełożonych rad szkolnych poszło za przykładem p. Wyrobka, postanowienie marszałka krajowego hr. Larischa, naka-

zujące nauczycielom wystawianie kwitów w języku niemieckim, stałoby się niewykonalnem i spór musiał być by nierostrzygnięty zasadniczo. Kiedy chodzi o obronę praw narodowych, jak prawo używania języka polskiego, nie wolno liczyć się z żadnymi względami ubocznymi, chociażby z opłakanem położeniem materyalnem nauczycieli. „Demonstrowanie“ przeciw poniżeniu języka polskiego, zalecane przez *Głos ludu śląskiego*, do celu nie doprowadzi. Dlatego z praw nam należnych nie korzystamy, że bronić ich nie umiemy w sposób odpowiedni, spokojny ale bezwzględny, a często nawet, jak w danym wypadku, potępiamy ludzi, którzy świadomie lub instyktownie stosują jedynie właściwą taktykę obrony tych praw. Nie obchodzą nas i wogóle nikogo obchodzić nie powinny pobudki postępowania p. Wyrobka, skoro należycie je uzasadnił pod względem politycznym.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

— Niedawno prasa brazylijska sporo pisała o projektach niemieckich, grożących całości i niepodległości Brazylii. Bardzo dyplomatycznie postąpiła wychodząca w Kurytybie *Gazeta polska*, oświadczając w imieniu Polaków brazylijskich, że w razie takiego zamachu ze strony Niemiec wystąpiliby jednomyślnie w obronie przybranej ojczyzny. Dziennik urzędowy parański *Republica* podniósł z uznaniem oświadczenie »dzielnej i pracowitej kolonii polskiej« i wyraził życzenie, żeby wszyscy przybysze »szli za przykładem, jaki im dają synowie nieszczęśliwej lecz bohaterskiej Polski«. Artykuł *Gazety polskiej* zamieściły w streszczeniu telegraficznem wychodzące w Rio Janeiro dzienniki: *Jornal do Commercio* i *Gazeta das Noticias*. Ma się rozumieć, Niemcy brazylijscy są z wystąpienia *Gazety polskiej* niezadowoleni i podejrzywają ją o spekulacyę polityczną Nie jest to spekulacya, ale zręczny manewr, który zaszkodzić może trochę planom kolonizacyjnym niemieckim a dopomódz polskim.

— W Herne, w Westfalii, pracuje kilka tysięcy Polaków. Górnicy, niezadowoleni z zarobku i wielkich potrąceń z płacy, urządzili bezrobocie. Podczas rozruchów w walce z policyą i wojskiem zginęło kilku ludzi, a kilkunastu było ciężko rannych. Pomiędzy zabitymi i rannymi jest 5 Polaków. Niektóre dzienniki niemieckie rozgłosiły, że Polacy wywołali rozruchy; landrat miejscowy w odezwie wydanej z powodu zaburzeń zwala winę na robotników polskich. Nawet socyaliści w jednej odezwie oskarżają pośrednio Polaków. W rzeczywistości strejkowali zarówno Polacy, jak Niemcy, w rozruchach zaś istotnie brali udział w dość znacznej liczbie młodzi, przeważnie małoletni robotnicy z Górnego Slązka. Oskarżenie socyalistów polskich z Berlina, że wywołali rozruchy, nie ma żadnej podstawy, przeciwnie, *Gazeta robotnicza* wzywała górników, żeby powstrzymywali się od czynów gwałtownych i nie dawali rządowi broni w rękę. Istnieje bowiem podejrzenie, że władza umyślnie prowokowała górników i wywołała zaburzenia, chcąc w ten sposób usposobić parlament do przyjęcia odrzuconej niedawno ustawy przeciw strejkom. Wielu Polaków porzuciło robotę w kopalniach, niektórzy wynoszą się nawet z Westfalii. Z kopalni Shamrock dyrekcya wydaliła kilkuset Polaków. Gazety niemieckie zaznaczają, że Polacy nie wypowiadają roboty, nie stawiają żadnych żądań, ale po prostu porzucają pracę w kopalniach.

= Wydane drukiem VI sprawozdanie Komisyi nadzorczej Skarbu Narodowego Polskiego wykazuje stały, aczkolwiek zbyt powolny wzrost funduszów tej instytucyi. Zwłaszcza wpływy z kraju są w ostatnim roku bardzo małe. Zdaje się, że jedną z głównych przyczyn tego jest, jak już dawniej wykazywano, wadliwa organizacya poborów krajowych, a raczej brak odpowiedniej organizacyi. Temu w części zaradzono, ale dopiero przyszłoroczne sprawozdanie okaże, czy z pomyślnym skutkiem.

W Lutym r. 1898 stan funduszów skarbu wynosił 151.120 fr. 30 c. w tym samym czasie w r. 1899 — 159.871 fr. 68 c. Do tej sumy doliczyć należy 3.424 doll. w depozycie Związku Narodowego w Stanach Zjednoczonych, co czyni 17.072 fr. Ogólny więc fundusz Skarbu w r. b. wynosił 176.943 fr. 68 c.

W roku ubiegłym Komisya Nadzorcza wypłaciła sumę 4.353 fr. 28 c. stosownie do przepisów ustawy, na obronę czynną sprawy polskiej w kraju.

Sprawozdanie niniejsze — pisze prezes Komisyi nadzorczej pułk. Miłkowski — zamkniemy uwagą ogólną, którą nam nasuwa acz stały, ale za zbyt powolny wzrost Skarbu Narodowego. Powolność ta świadczy, iż ogół polski, w kraju zwłaszcza, jasnej sobie nie zdaje sprawy z wielkiego instytucyi tej znaczenia. Któż temu zaprzeczy, że obrona sprawy wszelakiej, nie dopieroż takiej jak sprawa polska, obrona czynna a istotna, nakładów pieniężnych wymaga?... Bez tego nie może być ona ani ciągłą, ani systematyczną, ani — co za tem idzie — skuteczną. Brak ciągłości i systematyczności z natury rzeczy na to ją naraża, że najpożyteczniejsze, w najszczerzej patryotycznym duchu poczynane przedsiębiorstwa, o ile są przez rządy zaborcze dozwalane i przez nie przeto dozorowane, truciznę w końcu dla społeczeństwa polskiego produkują. Rzuca się to w oczy we wszystkich trzech zaborach: i w kościele i w szkołach, w stowarzyszeniach i w spółkach, w zakładach rozlicznych. Wszędzie na ziemi polskiej, jak długa i szeroka, duch polski ciągłemu a systematycznemu podlega zatruwaniu, któremu opinia publiczna przeciwstawia obronę dorywczą, rozsypkową, inaczej tu, inaczej ówdzie prowadzoną.

»Ogólne a szczere Skarbem Narodowym zajęcie się nadałoby od razu inną postać temu szkodliwemu różniczkowaniu się: nadałoby działalności politycznej mianownik wspólny, wytyczający dla umysłów polskich dyrektywę, którąby wszelkie moskiewskie, czy niemieckie trucizny zobojętniała«.

Dodamy, że sprawozdanie tegoroczne zawiera »Słowo wstępne« o znaczeniu Skarbu Narodowego podpisane przez Wydział Związku Wychodztwa.

= *Bulletin polonais*, organ b. uczniów szkoły batiniolskiej, przytacza w dalszym ciągu głosy prasy francuskiej o *Memoryale* stronnictwa demokratyczno-narodowego (*Le Nouveau Monde*, *Patrie*, *Stephanois*). W prasie włoskiej *Memoryał* zyskał również przyjęcie pochlebne. Poseł De Cesare pisze o nim w dzienniku *Arena*, stary nasz przyjaciel Orest Tencajoli w miesięczniku *Idea liberale*. Piszą dalej o *Memoryale* dzienniki: *Lega lombarda*, *Unione* (wyborny artykuł Ungheriniego), wreszcie genueński *Supplemento del Caffaro*.

Organ irlandzki *The Irish World* zamieścił dwa artykuły o sprawie polskiej wobec konferencyi pokojowej, w jednym z nich podał w przekładzie prawie cały *Memoryał*. Wreszcie o *Memoryale* i wystąpieniu Lewakowskiego

w Hadze pisały sympatycznie dzienniki holenderskie: *De Telegraph*, *Het Vaderland*, wspomniany już w innem miejscu *Dagblad von Zuid-Holland*, *Allgemeen Handelsblad* i *Nieuwe Rotterdamsche Courant*.

Z OBCEGO ŚWIATA.

= Deputacya, złożona z przedstawicieli 6 uniwersytetów europejskich pod przewodnictwem senatora francuskiego Trarieux przybyła do Petersburga w celu przedstawienia carowi niesprawiedliwości, jakiej rząd rosyjski dopuszcza się względem Finlandyi. Naprzód deputacya udała się do wielkiego księcia Konstantego, który jej oświadczył, że nic w tej sprawie zrobić nie może i odesłał deputatów do ministra dworu Frederyksa. Minister zapewniał deputacyę, że rząd rosyjski nie ma zamiaru znosić autonomii Finlandyi, na co Trarieux odpowiedział: „Jestem prawnikiem i doskonale rozumiem, że chcecie zgnieść Finlandyę.“ Ma się rozumieć, car deputacyi nie chciał przyjąć.

Przytaczamy tekst petycyi: »Podpisani czują się zniewoleni dać wyraz swoim gorącym sympatyom dla finlandzkiego narodu.

»Niewielki, ale dzielny i pełen charakteru naród, naród który w trudnej walce z przyrodą właśnie w naszem stuleciu wzniósł się do wysokiego dobrobytu, osięgnął znaczne zdobycze na polu nauki i sztuki, wytworzył doskonałe szkolnictwo i posiada bogatą, oryginalną kulturę — taki naród znajduje się obecnie w wielkiem niebezpieczeństwie, że może być pozbawionym swej narodowej indywidualności, a więc najpotężniejszego źródła ekonomicznej i intelektualnej twórczości.

»Poczytujemy sobie za stanowczy obowiązek, bez względu na różnice narodowości i stanowiska politycznego, śmiało podnieść głos i dać wyraz naszemu życzenniu: „aby wstrzymano takie zniszczenie cennego członka europejskiej rodziny ludów.

»Nie możemy uwierzyć, aby władca który zwołał konferencyę pokoju, miał skazać na zagładę kwitnący, dzielny i lojalny lud«.

Petycyę tę podpisało przeszło tysiąc osób. Przytaczamy nazwiska najwybitniejszych:

Z Francyi: Książę Broglie, Waddington, Sardou, Zola, Sully-Prudhomme, Flammarion, Anatole France, Falquère, Roll, Gaston Paris, Sabatier, Monod, Ludwik Havet, Paul M yer.

Z Niemiec: Virchow, Mommsen, Neumayer, Gegenbaur, Ernest Haeckel, Hans Delbrück, Juliusz Kaftan, Fr. Paulsen, Dahn, Rosegger, Lenbach i inni.

Z Anglii: Lord Lister, Herbert Spencer, Fr. Darwin, John Murray, Meredith, Clemens Markham, lord Frey i inni.

Z Holandyi: Prezes trybunału kasacyjnego Liefslind, prezes stanów generalnych były ministor Portoliet.

Z Włoch: Lombroso, Compasettti, Pillari, Brusa, Pierantoni, Amicis, Bonfadini, Carducci.

Z Norwegii, Szwecyi i Danii: Lamprech, Grieb, Thaulow, były prezydent gabinetu Hagerup, Frithjof Nansen, Crögger, Ibsen, Björnson z Chrystyanii; Olivecrona, Snoilsky, Zorn, de la Gardie, Hildebrant, Sohlmann, Mittay-Leffler, Nordenskiöld, Monteline ze Sztokholmu; prezes duńskiego Towarzystwa pokoju Bajer, Jerzy Brandes, prof. Wilhelm Thomsen, Karol Jacobsen z Kopenhagi.

Ze Szwajcaryi: Hilty, Le Fort, Roquin, Moynier.
Z Austryi: Adler, Kraft Ebing, Exner.
Z Węgier: Lorand, Eötvös i 20 członków Sejmu węgierskiego.
Oprócz tego rektorowie uniwersytetów w Gandawie, Berlinie, Oxfordzie, Cambridge, Edinburgu, Glasgowie, Aberdeen, Leydzie, Utrechcie, Lund, Bolonii, Messynie, Genui, Genewie, Bernie, Lozannie i Zurychu.

Generał-gubernator finlandzki Bobrikow, jak donoszą gazety niemiekie, zwrócił się do policyi berlińskiej z prośbą o dostarczenie mu zręcznych agentów, którzy by mogli wykryć osoby, prowadzące agitacyę przeciwrządową w Finlandyi. Agentom zapewnia rząd rosyjski po 20 rs. dziennie pensyi oprócz zwrotu kosztów i nagrody za wykrycie agitatorów. To pożyczanie sobie agentów policyjnych w Berlinie jest faktem ciekawem i znamiennym. Gazety niemieckie nie piszą, czy policya berlińska propozycyę przyjęła.

= Rząd rosyjski probuje w Finlandyi starej sztuki. W ostatnich czasach władze miejscowe aresztowały wielu wędrownych kupców, Rosyan i wogóle rozmaitych podejrzanych włóczęgów, który opowiadali włościanom o rzekomej reformie stosunków rolnych, zamierzonej przez cara, o podziale gruntów i t. p. Generał-gubernator Bobrikow wydał z tego powodu ciekawy cyrkularz do gubernatorów, jawnie protegujący tych tajnych wysłańców rządowych. Bobrików, widocznie zwolennik konstytucyjnego podziału władz, twierdzi, że władze administracyjne — wykonawcze — nie powinny »zwracać szczególnej uwagi na wypadki agitacyi, gdyż te należą do przestępstw«, t. j. podlegają władzy sądowej. »Uwięzienie osób niewinnych« (tj. tych, które według własnych słów jego popełniają przestępstwa) bez dostatecznej podstawy jest rzeczą wysoce niesprawiedliwą i budzi wśród ludności namiętności oraz nienawiść w jednej, powszechnej rodzinie rosyjskiej. Aresztowanie wędrujących handlarzy za przekroczenie ustaw obowiązujących nie powinno mieć charakteru surowego, ponieważ nagłe przejście do surowości po długiej względności, nie przynosząc sprawie pożytku, może uwięzionych postawić w ciężkiej nader sytuacyi, nawet niezasłużonej tak bardzo«.

„Z otrzymanych przezemnie wiadomości widać, iż prześladowanie rosyjskich kupców włościan w pewnych okolicach Wielkiego Księztwa w ostatnich czasach jest rzeczą niewątpliwą. Prześladowanie to doszło do wielkich rozmiarów, dzięki niestosownej agitacyi dzienników. W niektórych okolicach na kupców rosyjskich dokonywany był pościg prawdziwy: nie chciano im dawać noclegu, ani pokarmu; chwytano ich i za schwytanie dawano nagrody, czerpane z funduszów, przeznaczonych na tępienie zwierząt szkodliwych. Trudno się dalej posunąć w niesympatyi względem kupców«.

Liberalny generał-gubernator twierdzi, że nie było powodów do takiego postępowania. »Oskarzeniem głównem był zarzut, iż ci handlarze głosili *przewrót agrarny*, co skutków poważnie szkodliwych pociągnąć za sobą nie mogło. Wobec tego na mocy §§ 26 i 27 najwyższej instrukcyi dla generał-gubernatora, polecam panu w imię sprawiedliwości i bezstronności względem każdego poddanego państwa rosyjskiego zastosować natychmiastowe środki przeciwko propagandzie na szkodę rosyjskich kupców i wydobyć ich z położenia, obrażającego godność imienia rosyjskiego«.

= *Times* ogłasza ciekawy memoryał generał-gubernatora Kaukazu księcia Galicyna, podany carowi w r. 1898. Memoryał zajmuje się szczególnie Ormianami, których uważa za najniebezpieczniejszych dla wpływu rosyjskiego na Kaukazie przeciwników. Ma się rozumieć generał-gubernator przedewszystkiem zwraca uwagę na duchowieństwo i szkoły ormiańskie i popisuje się tem, co już zrobił. W ciągu r. 1896 i 1897 zamknięto z rozkazu rządu 320 szkół ormiańskich, pozostało tylko 31, które ten sam los wkrótce spotka. *Katolikos* (patryarcha) ormiano-gregoryański otrzymał ostrzeżenie, wysłano bowiem administracyjnie z Kaukazu jego sekretarza i kilku księży wpływowych. Generał-gubernator prosi w memoryale cara o upoważnienie zagarnięcia funduszów ormiańskich, pochodzących z zapisów i ofiar, przeznaczonych na cele religijne i naukowe. Ten projekt złodziejski bardzo się podobał godnemu następcy Iwana Kality i »szlachetny« Mikołaj II raczył dopisać na marginesie memoryału: »tą drogą iść należy« Dziennik *Ararat*, organ patryarchy, poddano specyalnej cenzurze, drugi dziennik, *Ardzagank* po dwukrotnem, 8-miesięcznem zawieszeniu, zamknięto. Dalej proponuje cały szereg środków w celu złamania przewagi Ormian w radach miejskich a specyalnie w Radzie miasta Tyflisu, między innymi żąda dla siebie prawa usuwania radnych, którzy są nie na rękę rządowi. Towarzystwa dobroczynności, poddane już bardzo surowej rządowej kontroli, należy zupełnie rozwiązać, bo działają w duchu separatystycznym, a stworzyć nowe, w którychby dobroczynność Ormian znalazła ujście, »ale była wolną od tendencyi religijnych i narodowych«. (I te propozycye każe car »starannie rozważyć«). Ażeby możliwie zmniejszyć ilość Ormian w granicach cesarstwa, przedsięwziął ks. Galicyn przymusową wysyłkę tych Ormian, którzy schronili się do Rosyi z Turcyi. Wysyłka ta ma być ukończoną w ciągu dwóch lat. Ten ostatni projekt tłómaczy rozgłoszone niedawno w telegramach rzekome barbarzyństwo rządu tureckiego, który nie chciał przyjąć wydalonych z Kaukazu Ormian, ponieważ już oddawna przestali być poddanymi tureckimi.

= Więcej niż rok temu, zamieściliśmy ciekawą wiadomość, że Dreyfuss wydawał tajemnice wojskowe rządowi rosyjskiemu. Obecnie niektóre gazety francuskie piszą o tem i dodają, że nie chcąc narazić się Rosyi rząd francuski za pomocą podrobionych dokumentów usiłował wykazać, że Dreyfuss sprzedawał plany rządowi niemieckiemu. Ta wersya wydaje się najprawdopodobniejszą, tłómaczy bowiem, dlaczego dopuszczono się fałszerstwa. Trudno inaczej zrozumieć, żeby bez powodu ludzie, zajmujący wysokie stanowiska urzędowe, prześladowali tak zawzięcie jakiegoś marnego kapitana, nie cofając się nawet przed występkiem.

= *Wiener Allg. Zeitung* doniosła, że austryacki minister oświaty dał naganę rektorowi uniwersytetu wiedeńskiego za podpisanie petycyi do cara w sprawie Finlandyi. *Fremdenblatt* tej wiadomości zaprzeczył, okazało się jednak następnie, że minister żądał wyjaśnienia od rektora, ale poprzestał na jego oświadczeniu, iż podpisał petycyę nie jako przedstawiciel uniwersytetu, ale jako profesor. Profesorowie nawet rektorowie uniwersytetów rosyjskich nieraz w obelżywy po prostu sposób piszą o Austryi, i nikt za to nie daje im nagany, ani nie żąda od nich wyjaśnień. Naturalnie, inne mocarstwa, świadome tej dziwnej uprzejmości rządu austryackiego, nie robią sobie z nim ceremonii w zatargach międzynarodowych.

ODEZWA.

== Gromadząc od dłuższego czasu materyały do historyi roku 1863 na Rusi, zamierzam przystąpić do opracowania tego tematu, póki jeszcze żyją ludzie, którzy w tym ruchu udział brali. Oni będą mogli, zważywszy małą ilość materyałów drukowanych, do tego okresu i tematu odnoszących się, nietylko sprostować nieuniknione błędy w pracy mojej, lecz także dopomódz do tego, ażeby tych błędów najmniej było. Do nich się przeto, do ich dobrej woli zwracam z prośbą, ażeby zechcieli udzielić mi łaskawie wiadomości o wypadkach, zdarzeniach, pracach, w których udział brali osobiście, o ludziach, z którymi się stykali. Ponieważ dotychczasowe próby napisania całkowitej historyi roku 1863 mało i niedokładnie uwzględniały to wszystko, co się działo na ziemiach ruskich, postanowiłem lukę tę wypełnić osobną obszerną monografią, która obejmuje wypadki na Wołyniu, Ukrainie, Podolu, w Galicyi i na Wschodzie. Pomoc, udzielona mi w tej pracy, w formie dostarczonych materyałów, będzie do pewnego stopnia spełnieniem obowiązku publicznego wobec ludzi, którzy życie swoje, majątki i trudy złożyli w ofierze z bezprzykładnem prawie poświęceniem, dla wielkiej i niespożytej idei wolności i niepodległości naszego narodu. Lwów, Lelewela 10. *Fr. Rawita-Gawroński.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Nag. w Kryn. Szkoła nie ma charakteru państwowego, zdaje się, że bez patentu można być do niej przyjętym. Oprócz p. Kiniorskiego ukończył szkołę w r. b. p. Krypski, który napisał rozprawę o polityce francuskiej w stosunku do sprawy polskiej od r. 1793 do 1813.

P. Al. W. w Koł. Dr. Stanisław Kłobukowski mieszka obecnie w Warszawie, adres dokładny da redakcya *Gazety handlowo-geograficznej* we Lwowie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego